

DZIS i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok XII

Warszawa, dn. 8 stycznia 1956 r.

Nr 1 (527)

ZYGMUNT LICHTAK

ZAPISKI NIEUZGODNIONEGO (6)

SPOJRZENIE Z UKOSA, ale nie zezem

W NIEPEŁNYM świetle widząc sprawy literatury emigracyjnej, patrzeć na nie możemy tylko z ukosa. To znaczy: patrzeć na nie musimy świadomi dzielących nas różnic, dalecy od wypierania się zrozumiałych i koniecznych zastrzeżeń, a nawet zdolni do oczystych — raczej rozsądku niż fanatyzmu dowodzących — uprzedzeń. Ale spoglądając z boku — tak jak rozsądniejszy brat spogląda na mniej rozsądnego, nie chcąc podzielać jego błędów — powinniśmy uniknąć prymitywnego zezowania. To znaczy: powinniśmy mieć ambicję możliwie spokojnego dociekania do „sedna sprawy”, ambicję widzenia literatury emigracyjnej, jej pisarzy i dzieł w kategoriach zarówno błędów ideowo-artystycznych, czy wręcz politycznych jak również w kategoriach zdrady, zdecydowanej głupoty czy tniego oportunizmu. Nieprawdą jest, że tylko te wspólczesniacy określają rozwój zjawisk kulturalnych i literackich naszej emigracji, tak jak nieprawdą jest, że ów rozwój od tych współczesników jest całkowicie wolny.

Dla ustalenia możliwie bliskiego prawdy obrazu literatury emigracyjnej widzianej z boku podjąć trzeba wysiłki odbiegające od tradycji łatwych i wygodnych przemilczeń jak i tradycji wyłącznie wzgardliwych wzmianek. Jak już kilkakrotnie wspominałem, moje zapiski tej roli nie spełniają, bo autorowi wiedzy nie dostaje. I nie to jest tych zapisków zamiarem. Chcą one — co także nie tyle dla znużenia, ile dla powszechnego zrozumienia powtarzałem i powtarzam — wezwać do realizacji tych zadań przez ludzi bardziej powołanych. Ale zanim się owe „*personae grae*” odezwa, wolno mi — niepowołanemu — pogawędzić o kilku pisarzach i kilku książkach, aby... miano mnie za co ganić lub w czymś poprawiać. Przypominam: żadnych tu syntez, żadnych naukowości czy zobowiązujących uogólnień, lecz ot, kilka uwag wynotowanych z raportarza przypadkowych i fragmentarycznych lektur.

CHOBY o Miłoszu. Jego sprawa — co byśmy nie powiedzieli o tym, że nieobecni racji nie mają — ciągle jakoś ciekawi. Nie ma co ukrywać. Zakładać kląpki dorozkarskie na oczy i nie patrzeć w tym kierunku to trochę strusić, tak jak gadać wyłącznie o tym i pasjonować się tą sprawą jako wielkim zagadnieniem — po prostu głupio. Najlepiej chyba — rozsądnie pogadać. Próbowaj: to na jakimś zjeździe robić u nas Przybós. Wzywał do polemiki ze „Zniewolonym umysłem”. Miał rację. Putrament odpowiadał, że nie warto. Ze pies szczeka, a karawana jedzie dalej. Chyba nie miał racji. Potem — z pozycji jadącej dalej karawany — próbował sprawę Miłosza przedstawić Brandys w opowiadaniu „Nim będzie zapomniany”. Mimo wielu ciekawych hipotez psychologicznych nie we wszystkim — przynajmniej mnie osobiście — przekonał. Przyganiał mu później Flaszyn w swoim „womitalnym” artykule, że rozrachunek z Miłoszem musi być także rozrachunkiem z artystą, z programem działania twórczego. W tym jednym na pewno nieapetycznym autor miał rację. Jeszcze później (w ostatnim listopadowym numerze „Kultury”) odezwał się w związku z opowiadaniem Brandysa negatywny bohater całej afery. Niestety, wywody Miłosza ukazują raczej maskę zdenerwowania, niż twarz polemisty.

Czas chyba, aby ktoś — godniejszy od autora zapisków nieuzgodnionego — wziął tę sprawę w mądre ręce. Niejedno warto by tu dokładniej wyjaśnić.

Tu na przykład, że argument o „ambicji tłumaczeń „Zniewolonego umysłu” niesłusznie jest wykorzystany przez prymitywną propagandę jako argument przekonywającej prawdziwości tych zawartych w książce. Trzeba chyba powiedzieć: „To kiepski dowód. Albo z niemiecka: żaden dowód”. Domyślamy się, komu jest ta książka potrzebna. Odpowiada ona do prostu doświadczeniom w wiadomych kręgach z potrzebami politycznym. Jest realizacją bardzo określonego zamówienia, zamówienia na pamflet

wobec rewolucji, zamówienia na tzw. „sygnal ostrzegawczy”, zamówienia na „SOS” zagrożonego rzekomo Zachodu przed groźącym rzekomo Wschodem. „Zniewolony umysł” trafił na szczęśliwą dla siebie koniunkturę. Nie dzięki swoim walorom intelektualnym czy jakiejś tam pasji moralizatorskiej, ale po prostu dzięki swojej funkcji agenturalnej. To, że funkcję tę spełnia w sposób inteligentniejszy niż inne formy takiego działania, że operuje zespołem elementów zorganizowanych przebiegle, czy mniej prostacko, ba, nawet z wyrafinowaniem, jest nadadkiem, jest usprawnieniem politycznego użytkownika. Ostatecznie: powołuje się do tej służby i „Zaćmie nie słońca” Koestlera, i bremnie Światła. Skala może być bardzo rozległa i bardzo zróżnicowana. Zaletnie od przeznaczenia czytelniczego, od wyboru kręgu adresatów. Powtarzam: rozgłos „Zniewolonego umysłu” polega przede wszystkim na jego bardzo odpowiednio dobranej funkcji agenturalnej wobec intelektualistów zarażonych lub zarażanych obawą przed groźbą niszczącej osobowość ludzką rewolucji. Nie ma co nas nabierać w tym wypadku na ilościowe argumenty poczynności, która wynika po prostu z kapitalistycznego zapotrzebowania na strach, nieufność, wrogość, z zapotrzebowania na antyrewoლucyjność i cynizm. Taki jest przynajmniej mój punkt widzenia.

Nie sądzę jednak, aby sprawa „Zniewolonego umysłu” wyczerpywała się w określeniu agenturalnego sposobu funkcjonowania tej książki. W jej treści, ale nie załatwia zawartych w niej też zbuntowanego intelektualisty. Bo poza wszystkim jest to jakoś pojęta sprawa sporu o jakiś stosunek do świata przeobrażonego rewolucją. W tych kategoriach widziana pierwsza emigracyjna książka Miłosza jest książką tragiczną. I warto, aby ktoś bardziej powołany ode mnie zastanowił się głębiej nad intelektualnymi i moralnymi źródłami jej tragizmu. Zanim to ów bliżej mi nieznanym ktoś uczyni, chciałbym zaryzykować kilka spostrzeżeń (może lepiej będzie: spostrzeżonek?)

Najprzód jedna pozornie formalna kwestia: usuwam z pola swoich obserwacji cztery, zawarte w „Zniewolonym umyśle” portrety dawnych kolegów Miłosza, a dzisiaj ludzi mających już trwałe miejsce w naszej literaturze. Nie dlatego, bym chciał w ten sposób protestować przeciw szarganiu świętości. Nie wszystkich czterech „kanonizowałem” — przynajmniej do tej pory — w swojej grafii literackiej. Nie. Po prostu dlatego, że uważam ową galerię portretów za rzecz nawet ze strony Miłosza zbyt obrzydliwą, zbyt płaską, żenująco małoszkowa. Niby te portrety mają być egzemplifikacją też ogólnych, są zastawione psychologicznie na argumenty socjologiczne, w ostateczności jednak czuć je na kilometr kwasm zawiści. Za dużo paskudzi się u nas tymi sprawami podwórko literackie, by jeszcze importować zakalcowate żale i pretensje.

ISTOTA „oczyszczonej” w ten sposób książki Miłosza wydaje mi się wotum nieufności wobec rewolucji. Wotum nieufności sformułowane z uzurpatorskich pozycji prokuratury moralnej i intelektualnej. W moralnym i intelektualnym szańcu tego wotum nieufności leży niebezpieczeństwo jego ewentualnego funkcjonowania. Miłosz bardzo sugestywnie ustawia się w kręgu interesujących go zagadnień jako obrońca godności, wolności, niezależności człowieka. Chce prowadzić czytelnika ku swoim teozom jako zwolennik wolnego wyboru takiego a nie innego człowieczeństwa, jako przeciwnik dzierzymordyzmu, głazszachtowania indywidualności itp. Jednym słowem: jako ten, który zna prawdę, walczy z kłamstwem. Któż nie miałby ochoty powierzyć swej wędrówce wśród skomplikowanych praw rewolucji tak szlachetnie rekomendującemu się cicerone? Prawie każdy. Ba, każdy. Każdy, prócz tych, którzy nauczyli się sprawdzać kwalifikacje przewodników, nie ufają rekomendacjom, nawet najbardziej wiarygodnym, a nie innego człowieczeństwa, jako przeciwnik dzierzymordyzmu, głazszachtowania indywidualności itp. Jednym słowem: jako ten, który zna prawdę, walczy z kłamstwem. Któż nie miałby ochoty powierzyć swej wędrówce wśród skomplikowanych praw rewolucji tak szlachetnie rekomendującemu się cicerone? Prawie każdy. Ba, każdy. Każdy, prócz tych, którzy nauczyli się sprawdzać kwalifikacje przewodników, nie ufają rekomendacjom, nawet najbardziej wiarygodnym, a nie innego człowieczeństwa, jako przeciwnik dzierzymordyzmu, głazszachtowania indywidualności itp.

Ta weryfikacja też Miłosza prowadzi — według mnie — do zdekonspirowania ich nieprawdy, więc: do ukazania ich tragiczności. Dla udowodnienia słuszności swych wywodów, Miłosz na kartach „Zniewolonego umysłu” ukazał różne a rozliczne formy, w jakich ludzie żyjący w epoce i w kraju rewolucji (konkretnie: w dziesięcioleciu Polski Ludowej) wypracowali sobie po dwie twarze, dwie postawy: z jednej strony asekurowane ich wobec rewolucji, tzn. pozwalające im się w rewolucji urządzać, i z drugiej strony wyzwalające ich wewnętrznie od obowiązków traktowania rewolucji na serio, od uczestniczenia w niej z przekonaniem. Cała ta teoria opiera się na apriorycznym założeniu, że ludzie kłamią, że ludzie nie mogą być z rewolucją, będąc w zgodzie z sobą, że nie mogą rzeczy trudnych, chwilami nawet bolesnych — kochać.

Nie chodzi o zbijanie takich twierdzeń. Poprzestać wystarczy na tym, że są nieudowodnione. Nie to jest najważniejsze. I nie to jest tragiczne w postawie Miłosza jako moralisty, intelektualisty, a więc w skutkach chyba i poety. Zastanowiła mnie i — przyznam szczerze, choć brzmi to bardzo młodzieńszkowsko — przeraziła mnie ogromna suma pogardy dla ludzi, jaka jest zawarta i w nieudowodnionym założeniu i w samym dowcipie. Pogardy tym cyniczniejszej, że wyzstafiorowanej humanistycznie, że przyczynionej w faldach togi samozwańczego prokuratora sumień,

umysłów ludzkich. Tragizm postawy Miłosza polega na tym, że jeżeli to, co pisze, uważa za prawdę, to znaczy, że stać go na widzenie milionów istnień ludzkich jako małego, plugawego kłębówka zakłamanych żyjątek, które zdobyły się tylko na to, by... kłamać sprytnie, udawać przebiegłe, żyjątek, których jedyną filozofią jest mimikra i poszukiwanie ciągłego alibi.

Nie mam zamiaru polemizować z takim stanowiskiem. Według mnie nie jest ono przedmiotem wymiany intelektualnej. Chyba tylko materiałem do oceny moralnej. Najprościej sformułowałbym tę swoją ocenę w zdaniu, które może brzmieć demagogicznie, ale jest jednocześnie najdelikatniejszym, choć także — przynajmniej dla tych zapisków — dostatecznie wyraźnym określeniem źródła tragizmu postawy Miłosza: Miłosz nie kocha. Miłosz to prorok, który nie ma nic do dania. Prokurator, który odbywa sam nad sobą — nie wiedząc o tym — ponury sąd. Sąd nad człowiekiem umiejącym tylko protestować. Tylko wzmawiać ludziom, że są zdatni jedynie do kłamstwa, gdy on wybrał prawdę. Prawda Miłosza brzmi nie jak wyznanie miłości, ale jak wyznanie pogardy. Chwilami wydawało mi się, że Miłosz nawet siebie nie kocha, bo chyba niemożliwe jest, aby miłość siebie nie obroniła go przed podjęciem ciężaru tak ogromnej odległości od praw ludzkich, od ludzkich umiłowań.

Tragedia Miłosza polega — według

mnie — na tym, że „pasowny” przez sytuację, w jakiej się znalazł po ucieczce z kraju, na „herolda” i obrońcę „zniewolonych” ludzi, głosi w imię wielkich haseł humanistycznych antyhumanistyczną teorię małych żyjątek, amebowatych zakłamańców, teorię, której może nie brak poloru intelektualnego, ale brak mądrej miłości. Przemaszam za niedokładność tego słowa, ale, bez niego ani rusz. Czy to w polityce, czy w uzurpatorskich sądach nad sumieniami, czy w literaturze. Bez miłości rozpadnie się nie tylko każde małżeństwo, ale także każdy system. I polityczny i filozoficzny. Dlatego przede wszystkim rozpada się według mnie teoria „Zniewolonego umysłu”. Myślał ktoś, że prowadzi go dobry cicerone, a tu — jak powiada autor hołesnego „Poematu dla zdrajcy” —

*mirke
pleiń
strach...*

Jest w tych dosadnych określeniach wiele prawdy. Ale pomyślmy także, jaka tragedia! Zastanówmy się nad drogami do jej źródeł. ...A przede wszystkim spytajmy, czym musiała ona zarazić poezję Miłosza.

NIE należałem jeszcze za „krąjowych” czasów Miłosza do tych, którzy gromko ogłaszali go za „największego”. Ceniłem go za „spokojną poezję, ale trochę mnie w niej niepokoiło polityczne destylowanie obrazów dokonujące się niejako pod nieobecność człowieka. Nie znaczy to jed-

nak, bym dzisiaj zamierzał w łatwy sposób dyskutować dawną wstrzeźliwość i rzucić pod adres ową beznadziejną wierszy autora „Światła dziennego” wygodne anatemy. Bynajmniej.

Nie tu czas i miejsce na recenzję ze „Światła dziennego”. Zrobi to może kiedyś ktoś sprawniejszy i bardziej ku temu skory. Ale czytając wiersze zebrane w tym tomie nie mogę się oprzeć potrzebie podkreślenia tych fragmentów, przez które najdokładniej przeziera owa beznadziejność wobec światła, maskowana historyczniczną powagą czy kassandrycznym patosem, a w gruncie rzeczy będąca rozpaczą człowieka, który stracił wiarę w ludzkość i ból niewiary pragnie zagłuszać surowością ferowanych *ture caduco* wyroków.

Jako przykład tej postawy tragicznego sędziego cudzych kłamstw służby by mógł wiersz „Naród”, w którym naród ukazuje się poecie:

*Bezmyślny, a przebiegły w trudzie
zwykłego dnia
Bez litości dla wdów i sierot, bez
litości dla starców,
Kradnący sprzed ręki dziecka
skórkę od chleba*

*Naród wielki, naród niezwalczony,
naród ironiczny,
Umie rozpoznać prawdę
zachowując o tym milczenie.*

Wypowiadając — swolm zdaniem — tę przemilczaną prawdę docho-

(Dokończenie na str. 2)

JERZY HAGMAJER

Notatki z podróży do Indii

AWIEC po wielu różnorodnych trudnościach lecimy do Indii. Odcylam oparcie w samolocie, zapinam pas, odwzajemniam się uśmiechem młej czeskiej stewardessie — start. Przecinamy puszyste cumulusy i pierzaste cirrusy, które pozostają kilkadziesiąt metrów pod nami. Jak zawsze, bierze mnie ochota ułożenia się wygodnie na którejś z puchatych chmur, ale i tym razem rezygnuję na korzyść fotela. Pożeram większą ilość chininy, aby dobić trapiącą mnie od wczoraj gryzę i zasypiam mocnym, krzepiącym snem. Z sennych majaceń wrywa mnie ładnie podane śniadanie i po krótkim podziwianiu srebrystej, lodowatej pustyni obłoków, przenikliwy ból w uszach świadczy, że za chwilę będziemy siadać na praskim lotnisku. Nie zdążyłem nawet dojechać końca miliego kuikielkowego filmu w portowym kinie, gdy głośnik wezwał do samolotu Swiss-Air pasażerów do Zürichu. Wsiadamy do wielkiego 4-silnikowego Douglasa, w którym wkrótce po starcie razą nas obfitym lunchem. Palącując pyszną czekoladą podziwiałam wiozące z daleka Alpy, po czym toniemy we mgłę, która nam towarzyszy do samego Zürichu.

Jako strasznie się kurczy ten nasz stary, poczciwy światek. Chytrze omijając czuwających przed wytwornymi hotelami, wygalowanych jak książęta z operetek Lehara portierów (którzy tu się nie nazywają szwajcarami), ładujemy w skromnym, ale miłym hoteliku Poste-France.

W ramach troski o człowieka przyswajam dwa keliszki koniaku, który, jak to głoszają największe sławy lekarskie, w sposób bezwzględny

prasza nas na rozmowę min. Trojanowski. Przy lampce Cinzano opowiada o Szwajcarii, której problemy polityczne, gospodarcze i kulturalne poznał znakomicie. Czas mija. Pociąg, którym zamierzaliśmy wrócić do Zürichu, już odszedł. Wreszcie wraca ten drugi miły pan i mówi, że wizy nie dostaniemy bez porozumienia Ambasady z Now Delhi.

Bardzo nam się podoba Szwajcaria, ale mieliśmy jechać do Indii, wobec tego w stanie lekkiego pod-

Zürichu po odjeździe autobusu na lotnisko. Okazuje się, że to drobiazg, Air India będzie nas oczekiwać z taksówką. Drzącym głosem mówię, że jeszcze musimy zrealizować czek w banku. To również drobiazg, Air India pomoże. Pokrzepieni na duchu wsiadamy w taksówkę. Po drodze przypomina się nam, że ten drugi bardzo miły pan z Poselstwa zostawił nasze wszystkie papiery w Ambasadzie Indii. Wobec tego wracamy do Ambasady, zabieramy dokumenty i w sposób wysoce prozaiczny, bez żadnych przygód dojeżdżamy do Zürichu.

Na dworcu na naszą Bardzo Ważną Delegację czeka dyrektor Air India w towarzystwie swoich dwóch współpracowników. Taksówka również. Podejmujemy pieniadze, zegnamy czule piękną urzędniczkę Air India, pełnym gazem szorujemy na lotnisko. Tam czeka na nas dyrektor i ułatwia blyskawicznie załatwioną odprawę, która kończy się w momencie ogłoszenia „wsiadanego” do samolotu.

Lecimy Super Constellation. Jest to niewątpliwie najspanialszy w tej chwili pasażerski samolot zachodniego świata. Cztery turbينية silniki wywołują moc 13.000 hp, pozwalają na osiągnięcie maksymalnej szybkości 600 km na godzinę. Lot odbywa się zwykle na wysokości 6-7 kilometrów. Dzięki urządzeniom regulującym wewnątrz kabiny ciśnienie, temperaturę i zawartość tlenu — warunki przebywania w kabine są takie, jak na wysokości nie przekraczającej 1 km. Leci nas ponad 80 pasażerów, znajdujących się pod opieką 9 osobowej załogi, z której 4 osoby stanowią zespół stewardów i stewardess. Wnętrze samolotu obszerne i nadzwyczaj wygodne, dostawki przy fotelach umożliwiają sen w pozycji leżącej.

Po 20 minutach od startu jesteśmy nad Albami. Na tej wysokości łapiemy jeszcze słońce, które na ziemi znikło już za górami. Złote niebo, fioletowe Alpy, lśniąca biała obłoki, otulające na noc górskie szczyty, stwarzają widok jak gdyby z innej planety.

Kontemplację fantastycznego krajobrazu przerywa wykład jednego z członków załogi, demonstrującego sposób użycia kamizelki ratowniczej. Uśmiechamy się do siebie bardzo dzielnie, ale kwaśno i zapamiętujemy, że panie w obuwii o wysokich obcasach mają wzbroniony wstęp do gumowej łodzi ratowniczej (Dokończenie na str. 6)



Rys. Krystyna Maślanka

zabija wirusy grypy, po czym przykrywam się pierzyną (sic!) i śpię.

RANO wybieramy się do Poselstwa PRL. Żeby było śmieszniej, to Poselstwo dowiedziało się o naszym pobycie w Szwajcarii od Air India. Młyny nam rzędna, gdyż mało jest na świecie przedstawicielstw, które wydają wizy w ciągu dwóch godzin, a my dotychczas nie mamy wizy indyjskiej. Bardzo miły pan pisze note do Ambasady Indii, aby nam dał wizy i posyła drugiego bardzo miłego pana, aby załatwił sprawę. Tymczasem za-

necianca telefonują do Zürichu do Air India. Przy okazji połączenia stwierdzam, że komunikacja telefoniczna w Szwajcarii wyprzedziła nas o parę długości. Po prostu nakreśla się numer miasta i numer abonenta w tym mieście, uzyskując połączenie równie łatwo, jak Leśnej Podkowy z Warszawą.

Komunikuję dyrektorowi Air India, że jesteśmy BARDZO WAŻNĄ Delegacją, że nie mamy wizy, że nam robią trudności etc. Dyrektor Air India bardzo się martwi, wreszcie ustalamy, że lecimy bez wiz. Pora jest już spóźniona, przyjeżdżamy do

Spojrzenie z ukosa, ale nie zezem

dził poeta tylko do relatywizmu, do dezawuowania w imię tego relatywizmu wszelkich form rozumienia historii, ujarzmiania historii. W wierszu „Do polityka” powiada:

*Guarne miasta i pola, kopalnie,
okrety
Na twojej dłoni, ludzkiej, jakże
ludzkiej.
Patrz. Linia twego życia tędy
będzie szła.*

*Trzykroć błogostawiony
Po trzykroć przekleństw
Wladco dobra
Albo wladco zła.*

Czytając ostatnie wiersze Miłosza, chce go się nazwać poetą antyhumanistycznego rozczarowania, a postępowo gorzkiego lekceważenia siły człowieka wobec historii. W „Palacu moich muz” czytamy:

*O Terpsychore, Euterpe,
Ja przecież tak was kochałem!
Na wietrze niezdarnych cierpień
Kolibra dom budowałem.*

I:
*Niestety, wiatr pióra porwał,
Gaśnie kraina pozorna.
Według mnie gdzieś w pobliżu
takich wyznań leżą źródła tragedii
postawy Miłosza. Jest — niezależnie od swej woli — symbolem zagubienia samego siebie w pogardzie dla spraw, które przeobrażają ludzi i świat.*

*
ALBO Witold Gombrowicz. Sądzę, że zamiast zastanawiać się nad tym, czy jego „Transatlantyk” i „Ślub” czy „Ferdynand” były przewrotem w literaturze czy nie były, znacznie ciekawsze i chyba słuszniejsze jest podać baczniejszej analizie to, co Gombrowicz na emigracji napisał i pomyślał nad sensem tego, co napisał.

Jak w sprawie Miłosza, tak i w tej obowiązek pełniejszego i głębszego przemyślenia problemu postawiam komuś bardziej powołanemu, ale podobnie jak w sprawie Miłosza, tak i w sprawie Gombrowicza, zanim odziewie się ową nieznaną mi bliżej kurtkę, chciałbym zaryzykować kilka spostrzeżeń (czy jak kto woli: spostrzeżeń).

Chociaż autor „Transatlantyku” określa swój utwór jako „zwariowane dziecko pijanej Muzy”, które „kpi sobie z wszelkiej problematyki i z komentarzy autora” — zarówno „Transatlantyk” opatrzone jest autorskim komentarzem, jak i „Ślub” obejść się bez niego nie może. Oprócz tego łącznie wydanie obydwu tych rzeczy poprzedza wstęp Józefa Wittlina. We wstępie tym powiada Wittlin: „Z wszystkich tych utworów dochodzi nas przerażający, niekiedy rozpaczyliwy głos moralisty i patrioty, co prawda patriotą a rebours”. I dalej: „Chociaż Gombrowicz jest moralistą, patriotą a rebours, z troską o los swoich rodaków, nie solidaryzuje się on z żadną istniejącą teorią o zbawieniu Polski; solidaryzuje się jedynie z tym, co uważa za swoją prawdę. Nie solidaryzuje się też Gombrowicz z żadnym ze swych „bohaterów”, nawet gdy jest nim Witold Gombrowicz. Należy on do tych nielicznych Polaków, co nie dali się ujarzmić, jak my wszyscy, narodowemu nieszczęściu. Nie pozwolił on, aby to nieszczęście wpłynęło na jego myślenie”. A jednak „ten pogromca szlachetczyzny i ziemiaństwa nie zerwał organicznie więzi ze sferą, która go wydała. Jest zjawiskiem tak bardzo polskim, że nawet w najlepszych tłumaczeniach utwory jego tracą swą soczystość”. Po tych zapowiedziach przedmowy precyzyjnie swoje stanowisko

zostało przypomniane własne wywody z polemiki ze Zbyszewskim: „Jeżeli w „Transatlantyku” daje się słyszeć (w humorystycznej interpretacji) pewien niedopuszczalny dotąd ton w stosunku do Polski — niecinęć, lek, szyderstwo, wstyd — to dlatego, że utwór pragnie bronić Polaków przed Polską... wyzwolić Polaka z Polski... sprawić, aby Polak nie poddawał się biernie swojej polskości, ale własnie potraktował ją z góry. Coż to znaczy, konkretnie mówiąc, Polska? Polska to nasze życie zbiorowe, tak jak ono urobiło się w ciągu wieków. Ale czyż nie były to wieki ciągłego, rozpaczliwego szamotaniny się i zmagania z przeważającymi, wrogimi siłami, wieki chorobliwego, konwulsyjnego istnienia, wieki niedorozwoju?... Czy, wobec tego, jeżeli Polak pragnie być człowiekiem pełnowartościowym i zdolnym do napiecia wszystkich energii swoich w tak przełomowej, jak obecna, chwili, nie powinien on wypowiedzieć służby tej „polskości”, która go dzisiaj określa?”

To „wypowiadanie służby” znajduje w „Transatlantyku” swój zastrzeżony karykaturalności formy artystycznej wyraz. Oto przykładowy wybuch owego patriotyzmu a rebours, jak go określa Józef Wittlin. W ślad za odpływającym do Ojczyzny okrętem nagrał wola: „A plyniesz wy, plyniesz Rodacy do Narodu swego! Plyniesz wy do Narodu waszego świętego chyba Przekletego! Plyniesz do Stwora tego św. Ciemnego, co od wieków zdycha, a zdechnąć nie może! Plyniesz do Cudaka waszego św., od Natury całej przekiętego, co wciąż się rodzi, a przecież wciąż Nieurodzony! Plyniesz, plyniesz, żeby on wam ani Życie, ani Zdechnąć nie pozwałał, a na zawsze was między Bytem i Niebytem trzymał. Plyniesz do Ślamazary waszy św. żeby was ona dala Ślimszczyła! (...) Plyniesz do Szaleńca, Wariata waszego św. ach chyba Przekletego, żeby on was skokami, szalami swoimi Męczył, Dreczył was, krwią zalewał, was Rykiem swym ryczał, wrykiwał, was Męką zameczał, Dzieci wasze, żony, na Śmierć, na Skonanie sam Konając w konaniu swoim Szłał swoje go was Szalał, Rozszalał!” I tak dalej i dalej.

Tak sformułowana idea „Transatlantyku” streszcza się więc w ambicji wyzwolenia spod zależności, którą na człowieka nakłada wieź narodowa. Można tę ideę komentować czy interpretować na mnóstwo sposobów: od najbardziej prostych, żeby nie powiedzieć prymitywnych, do najbardziej wyszukanych, by nie rzec: perfidnych. Z zakresu tych pierwszych narzuca się posiadzenie o zwykłą, drańską zdradę lub epatowanie szarganiem świętości, z zakresu tych drugich następuje psychologiczne tłumaczenie czy to kompleksem zle maskowanej nostalgii, czy też próbą zagłuszenia poczucia niezgodności z samym sobą. Sądzę, że w każdej z tych interpretacji jest jakaś część prawdy. Rezygnuje jednak z ich rozwijania, bo najciekawsze — przynajmniej dla tych zapisków — wydaje się uchwycenie najistotniejszego sensu, najdalej idących konsekwencji (nazwijmy je filozoficzno-moralnymi) postawy proponowanej przez Gombrowicza.

Nie popełnił chyba wielkiego błędu, jeśli zlakonizuje ją w ten sposób: dla dobra ciągłego rozwoju człowieka, który — jak powiada w swoim komentarzu autor „Transatlantyku” — „jest bez przerwy stwarzany”, konieczna jest absolutna wolność. Absolutna wolność nie

(Dokończenie ze str. 1)

znosi żadnych ograniczeń. Wieź narodowa jest jednym z ograniczeń. Precz z wiezią narodową.

Gombrowicz jednak nie poprzestaje na euforycznym proteście przeciwko tej wiezi. Idzie dalej. Tym krokiem dalej jest dramat pt. „Ślub”. Chodzi tu już o coś więcej. O protest, o próbę przezwyciężenia jakichkolwiek uwarunkowań międzyludzkich, o całkowitą wolność od zobowiązań czy choćby powiązań wobec drugiego człowieka. Sam Gombrowicz tak wyjaśnia „ideę dramatu”: „Człowiek jest poddany temu, co tworzy się „między” ludźmi i nie ma dla niego innej boskości jak tylko ta, która z ludzi się rodzi. Taki jest właśnie ten „kościół ziemski”, który objawia się Henrykowi we śnie”. Główny bohater pragnie się z tego wyzwolić. Po wielu złożonych zabiegach dochodzi pod koniec dramatu do „wstrząsających” konkluzji:

*Nie! Ja tu za nic nie jestem
odpowiedzialny!
Ja nie rozumiem własnych słów!
Ja nie panuję nad własnymi
czynami!
Ja nic, nic, nic nie wiem, nic nie
rozumiem!
Kto z was twierdzi, że rozumie,
ten kłamie!*

*Wy nie wiecie
Podobnie jak ja!
My tylko łącząc się pomiędzy
sobą, wciąż w nowe układamy
się kształty
I kształty owe z dołu ku górze
biją. Dziwny to dym!
Niepojęta melodia! Obłądny
taniec! Niejasny marsz!
I ziemski ludzki kościół
Którego jestem kapłanem!*

Józef Wittlin, kończąc swoją przedmowę sugeruje, że „w krajach, gdzie sztukę obowiązuje optymizm, w pepinierach soc-realizmu będą zapewne wskazywali na Gombrowicza jako na jaskrawy przykład indywidualistycznego zwrotnienia”. Nie wiem. Natomiast na pewno Gombrowicz jest przykładem tragicznego błędu. Oto odrzucając za wiecznym rozwojem i postulując absolutną wolność tego rozwoju pojęcie wolności wynaturzył w zasady czy bezzasady anarchy, a więc pozwał proces rozwojowy istotnych motorów. Nie mogąc pogłębić rozumienia wolności jako mądrego rozumienia konieczności rozwojowych skazał swój świat i swoich ludzi na wieczną plazmawość, właśnie na to, co jego słowami można by beszać jako „co wciąż się rodzi, a przecież wiecznie Nienarodzone”. Świat gombrowiczowski niby-ludzi jest niedocelowy, istnieje poza przesylną i skutkiem, daje wolność absolutną nie służącą do niczego, nie zobowiązującą do niczego, jest światem anarchicznego bełkotu. „Odpowiedzialności w ogóle nie ma!” wola rozegzaltowany Henryk. „Filozofia” tego rodzaju istotnie zdaje się zwalniać Gombrowicza z wszelkich rygorów myślenia, a — co gorsza — jego sztukę z wszelkich rygorów twórczego wyrażania czy przeobrażania świata.

Prowadzi to do zatracenia sensu dzieła w inercyjnym niemal toku mowy pozornie zorganizowanej, awansuje zdana niemal glossolalicznie do zdań merytorycznych. Oto próbka tego typu „działania artystycznego” wyjęta na chybił-trafił z „Transatlantyku”:

„A to już tak Chodzę! Z trwoną spoglądano, bo chyba nikt nigdy na żadnym Przyjęciu tak nie chodził... otóż tam pod ścianami, a jak tru-

nie, przycupnęli, słaki taki i pod Mebel wlaży, albo się Meblem odgrodził... a już Chodzę, Chodzę już nie tylko Chodzę, a tak Chodzę, że aż Chód jak Diabli, że wszystko chyba Porozbijam... O, Jezus Maria! To już Moi nie moi ogon pod siebie, dudy w miech, patrz, a ja Chodzę i wciąż Chodzę, Chodzę, a już Chód mój jak po moście dudni, Diabli, Diabli, i ja nie wiem, co z tym Chodem poczę, Chodzę i ciężko, ciężko, pod górę, pod górę, o, co to za Chód, o, co ja robię, o, już chyba jak Szalenie jaki Chodzę i Chodzę i Chodzę a to przecie za Wariata mnie będą mieli... ale Chodzę, Chodzę... i Diabli, Diabli, Chodzę, Chodzę...

Aż tu patrz, a tam jeden kole Pieca tyż chodził zaczął i Chodzi i Chodzi, a już tak Chodzi, Chodzi, że gdy ja Chodzę to tyż i on Chodzi. Dopiero ja od ściany do ściany, a on tam pobok od Pieca do Okna... i gdy ja chodzę to tyż i on Chodzi... Mnie diabli biorą: a co on się przyczepił, czego chce, może Przederżnia?... Czemu za mną chodzi? Aleń Chodu mego przerwać nie mógł!

My jednak — musimy. I tego wstarczy, by zilustrować, jakimi drogami chadza sztuka autora „Transatlantyku”.

Wnioski? Zostawmy je skrupulatnym analitykom. W tych zapiskach po szkiełkowym przedstawieniu problemu Gombrowicza pozwolić sobie można tylko na prowizoryczne sugestie uogólnień.

Wydaje mi się, że pisarstwo autora „Pamiętnika czasu dojrzenia”, które — według mnie — zawsze było więcej snobistyczną gierką, obliczoną na popyt wśród smakoszowsko pomilskujących snobów, nie twórczością prawdziwie zaangażowaną w poznawczą walkę o rozumienie świata i człowieka, stało się w warunkach izolacji emigracyjnej, w klimacie skompleksowanego mśczenia się na rzeczywistości poprzez lekceważenie jej obiektywnych praw namiastką sztuki, tak jak życie oderwane od zycia narodu, od pragnień i tęsknot zbiorowości ludzkiej stać się musiało namiastką życia, eraztem filozoficznym, surogatem istnienia w realnych kategoriach historycznych.

Powtarzam: według mnie. Bardzo możliwe, że dokładniejażby — niż moja — analiza doprowadziłaby do odmiennych wniosków. Chętnie skoryguję swoje poglądy pod wpływem rzeczowej dyskusji. I bardzo do niej zachęcam. A w tej chwili — tylko gawędę. Mam ochotę o niejedynej jeszcze pisarzu „tamtej strony” pogawędzić z czytelnikami.

*
NA przykład — o Wierzyńskim. Cóż, dzisiaj, kartując jego dość liczne tomiki z okresu międzywojennego, wiemy, że nie był to poeta tak wielki, czy choćby wybitny, na jakiego chciał go kreować tamten okres, lub — dookładnie mówiąc — „Wiadomości Literackie” czy jury przyznające mu laury poetyckie za „Laur olimpijski”. Wiele w tych wierszach było dźwięcznej retoryki, utalentowanego ładnostwoia, zgrabnego wierszowania, mało porywającej świeżości, głębi, autentycznego „pazura poetyckiego”. Wojna i emigracja w pierwszych latach powojennych nie przeorała zbyt twórczo tego starannie, ale chyba bez specjalnie pionierskiego trudu uprawianego półka poetyckiego. I w „Barbakanie warszawskim”, i w „Ziemii wilezyty” czy „Krzyżach i

mleczech” bez trudu można było poznać te same patetyczne inkwazacje, ten sam nadejty zbytnio „na wioszczo” ton, który pobrzmięwał w „Pieśniach fanatycznych” czy „Wolności tragicznej”. Zaostrzyły się kontury polityczne słowa poetyckiego, surowiej wystąpił ideologiczny kościec poetyckiej wypowiedzi, ale ciężyla nad wszystkim dawna demagogiczność chwytów samozwańczego herolda Wielkiej Sprawy, dawna skłonność do bogoojczyńskiej tromtadracji patriotycznej.

Poeta na starą, a tylko tematycznie zmienioną, modłę wznosił litanijskie zaśpiewy:

*„Wróć nas do kraju, gdzie nikt
ci nie bluźni
Jeśli w bezradnej udręce się
zbliża
Do starych prococtw i
wczesniej czy później
Losy ojczyzny porówna do krzyża”*

Poeta stawiał pytania bardziej retoryczne niż poznawcze poetycko:

*Lecz kiedy o zapłatę pytają się
waszą
Za krew, za trud, za drogi
zmierzone ich stopą
Czy cię te mroczne widma nagle
nie przestraszą?
Jeśli walczysz o wolność —
odpowiedz, Europo,*

Europa — rzecz jasna — nie odpowiadała na pytania poety, a poeta, wierny swej linii ideowo-politycznej, pisał wiersze pochwalne na cześć Bora-Komorowskiego, który dla niego „o lwim sercu pozostał legendą”, pisał nawet osobną „Balladę o Churchillu”. Niewiele ono obiegała od panegiryków poświęconych Piłsudskiemu. Taki stan rzeczy trwał dobrych kilka lat. Dla mnie — gdzieś do roku 1951. W tym mniej więcej czasie dotarł do mnie (a raczej do redakcji „Dziś i Jutro”, gdzie wówczas paralem się działem literackim) dość pokazy tom Wierzyńskiego pt. „Korzec maku” wydany nakładem katolickiego ośrodka wydawniczego „Veritas” w Londynie jako pierwsza pozycja tzw. serii poetyckiej.

Przeczytałem blisko setkę zawartych w nim utworów z prawdziwym zainteresowaniem i zdziwieniem. Bardzo różni się ten zbiór od poprzednich. Tematyycznie — pozbawiony jest treści bezpośrednio politycznych, stanowi rodzaj osobistego notatnika lirycznego. Poetycko — jest o wiele swobodniejszy, bardziej zróżnicowany, głębszy. Biograficznie — wydaje się być dokumentem oderwania od rozjrzanej wewnętrzno-emigracyjnych, zapisem ambicji stworzenia dystansu, stworzenia siebie na nowo w dumnej, choć zrezygnowanej samotności.

Wniosek, który mi się wówczas narzucił i po dziś dzień pociąga swoją chyba przekonującą logiką, był ten, że w warunkach emigracyjnych ucieczka w samotność jest jedną z rozsądniejszych form ocalenia siebie. Oczywiście bardzo połówicznie to ocalenie, bardzo daleka od pełnego zdecydowania decyzja, ale — przynajmniej o „Korcu maku” sądząc — ratująca w twórcy to, co na skalę tamtych możliwości jest do uratowania.

Wierzyński oddaliwszy się — jak sam zapewne chciałby to określić — od „potępiących swarów”, urosł trochę dzięki owemu osamotnieniu. Tragizm jego samotności polega jednak na tym, że w jej zaciśnięciu może hołubić tylko swoją nostalgicę, wspomnienia i rezygnację.

Ten — chwilami bardzo wzruszający — śpiew, zrezygnowanej samotności i nostalgii jest także

jakimś dokumentem literatury zblakanej.

W wierszu „Spotkanie z inwalidą” poeta mówi:

*Tylko nie wychyl kikutu za parów,
wszystko pamięta,
Tam ziemię ciemną, choć
wszystko pamięta,
Oddarta od nas, od wiklin, od
jarów.*

*Nie krzyż. Wiadomo, kość boli
odcietą.*

A w wierszu pt. „Budzę się w nocy”:

*Płynę balonem nad okolicą
Tak dobrze znana,
Nad waszym śladem.
Liczę to wszystko, co przetrzębiło
I jeszcze przemija,
Aby obumrzeć.
W „Patagonii”:
Ale naprawdę, to lecę w mrok,
Poza czas, poza miesiąc, dzień
i godzinę.
Nastawiam wskazówkę co rok,
co rok*

*I nic nie widzę.
Nic się nie zmienia.
Ginę.*

Lub w ślicznym wierszu miłosnym „Nie daj się smucić”, który zaczyna strofą:

*Boże, Boże,
Nie daj się smucić mojej żonie
Ona jest wszystkim, co mi zostało
Marzeniem, pisaniem,
Kwiatami na dworze,
Brzozą białą.*

Myślę, że to, co ocala — przynajmniej w mnie — takie wiersze i wiersze tym podobne, których w „Korcu maku” można wiele znaleźć, to jednak jakaś ich — chociaż boleśnie skazana na niespełnienie, boleśnie i sprawiedliwie osądzona nieważnością — miłość ludzka do spraw ludzkich, do kraju, do zachowania tego, co piękne. I myślę jeszcze — ulegając zrozumiałej chyba w tych zapiskach skłonności ku prowizorycznym uogólnieniom — że jednak niewiele potrafi w tamtych warunkach ocalić poezja, jeśli wszystko, co ocalić potrafiła — to rezygnacja... *

CZAS jednak przerwać tę przydługą gawędę, choć jeszcze o wielu pisarzach i księżkach chciałoby się mówić. O Wańkowiczu i jego nielatywnej drodze. O Zofii Kossak-Szczuckiej i jej ambitnym, szlachetnym w intencjach poszukiwaniu własnego miejsca. O pięknym talencie Parnickiego. O wielu innych, znanych nam jeszcze sprzed wojny pisarzach i o tych, których prawdziwy chrzest literacki odbywał się dopiero na emigracji. O Andrzej Bobkowskim, znanym nam z listów drukowanych ongiś w „Twórczości” i „Tygodniku Powszechnym”, a dziś ponoc obrazownym nie tylko na Polskę, lecz i na Europę, żyjącym w odległej Gwatemali. O drapieżnym, przypominającym w kolorycie (nie porównuj! nie zestawiam!) talent T. Borowskiego, niewątpliwym talencie Tadeusza Nowakowskiego. (Nie mylić z Zygmuntem, smutnie jałowiczym na londyńskich ugorach!) O Marianie Pankowskim, którego „Smagła swoboda” sympatycznie i rozsądnie omawiał niedawno Herdegen w „Zyciu Literackim”... I jeszcze o innych.

Alle gawęda nie jest traktatem. Jeśli była za długa na gawędę, to także trochę i dlatego, byśmy o tych sprawach nie pisali w przyszłości za krótko. Jeśli uwagi tu luźno rzucone spowodują kompetentniejszych do pełniejszego przedstawienia muśniętych przeze mnie spraw — spełnią swoje zadanie.

Oby.
Zygmunt Lichniak

JANUSZ STEFANOWICZ

Wybory jeszcze dalekie

PROSZE państwa, mała zagadka: jakim wyborem poświęciła prasa zachodnia najwięcej miejsca w ciągu ostatnich — powiedzmy — dwóch miesięcy? Oczywiście, francuskim. — Nie, Saara? Też nie. Rada Bezpieczeństwa? Po raz trzeci nie, przegraliśmy.

Zagadka postawiona zresztą złośliwie, bo nie chodzi tu o wybory bliskie ani w przeszłości, ani w przyszłości. Dziesięć długich miesięcy dziełi nas od elekcji nowego prezydenta Stanów Zjednoczonych. A mimo to prasa amerykańska dzień w dzień, a innych krajach zachodnich niewiele rzadziej dyskutuje wyjątkowo tym razem skomplikowaną sytuację przedwyborczą. Skomplikowaną przede wszystkim dlatego, że nagle — w wrześniową niedzielę ubiegłego roku — pojawił się ogromny znak zapytania koło postaci, co do wyboru której nie było właściwie wątpliwości. Kilka tygodni przed atakiem serca prezydenta Eisenhowera znany komentator Max Ascoli pisał przeciw „The Reporter” z dobrą znajomością rzeczy: „Prawdziwa walka między dwiema partiami będzie możliwa tylko przy nieprawdopodobnej hipotezie, iż obie wyznaczą Eisenhowera i przedstawia dwóch odrębnych kandydatów na wiceprezydenta”. Tak było. Ale nim przedziemy do tego, jak jest obecnie, zapytajmy — dlaczego tak było?

Krótko, ale i bardzo celnie odpowiedział na to pytanie niemiecki

znawca stosunków amerykańskich dr Hans Gisevius w czasopiśmie „Der Volkswirt” — „Bomba wodnoroja już w stadium eksperymentalnym nie pozostawiała miejsca na żadne dwuznaczności. Wraz z nią ujawniona została nowa prawidłowość we współżyciu narodów — czego nie były jeszcze w stanie uzmysłowić ludziom obie bomby atomowe z roku 1945”. W dalszym ciągu Gisevius dowodzi, że w opinii wyborców amerykańskich właśnie Eisenhower wyciągnął z tej prawidłowości wniosek, polegający na stwierdzeniu, że nie istnieje już żadna alternatywa do pokoku. I tu tkwi tajemnica jego popularności: dla wyborców USA Eisenhower jest tym człowiekiem, który pojechał do Genewy, tym który rozmawiał w Genewie i który był współtwórcą „ducha Genewy”. Pilny, bezstronny obserwator zauważyć może że słusznie, iż prezydent sankcjonuje dzisiaj politykę zagraniczną USA daleką od owej lipcowej atmosfery; że w orędziu wigilijnym powtarza nieświeżym pamięci slogany o „wyzwoleniu satelitów”. Ale popularność jest zjawiskiem lawinowym: trwa, a nawet rośnie długo jeszcze po tym, gdy zniknęły przyczyny, które ją wywołały. Wyborę jego też — opierający się na „genewskiej popularności” — był powszechnie przewidywany.

I oto czynnik tak niespodziewany, jak atak serca, które wstąpił, czy powtórna prezydentura jest realna. Oczywiście wielu ma jeszcze nadzieje. Może lekarze — ciągle zle-

kający z ostateczną diagnozą — powiedzą, że serce wróciło do normalnych sił? Może część mniej ważnych, a męczących obywateli głowy państwa da się złożyć na innych? Może wreszcie głos obywateli każe mu podjąć ryzyko powtórnej kadencji? Wiadomość podana kilka dni temu przez Hearsta wzmożona te nadzieje. Hearst jest jednak tylko dziennikarzem, nie lekarzem. I dlatego trzeźwi politycy biorą jednak pod uwagę przeciwną ewentualność. A tu zaczyna się chaos: nie dlatego, że partie nie mają w zanadrzu innych kandydatów; dlatego właśnie, że jest ich za dużo.

Polityka amerykańska jest dziś bardziej frakcyjna niż zwykle. Istotnym też kluczem do sytuacji wyborczej jest nie tyle rozgrywka między dwiema — dość iluzorycznymi różnymi w programie — partiami, ale wewnątrzpartijny układ sił i gra poszczególnych odcłamów. A mozaikę mamy w tym roku wyjątkowo barwną. Weźmy choćby fortecę demokratów, jednolite niegdyś w postawie politycznej Południe. Dzisiaj łatwo odróżnimy tam cztery przynajmniej ugrupowania. Tak zwani „Dixiekraci”, wyznawcy segregacji rasowej, antywiązkowcy, antykomuniści i izolacjoniści w polityce zagranicznej, opierający się o monopolole naftowa i tymże służący. Dalej tradycjonalni demokraci, jak senator George — społecznicy konserwatywni, ale liberalni w sferze zagranicznej. Trzecia grupa, to urzędniczy, biurokratyczny i zbliżony do republikańców z Połnoocy. W końcu —

niezorganizowani liberalowie, szukający sojuszu ze związkami zawodowymi. Przykładów takiego rozbiecia można by dać jeszcze wiele, w obu partiach i we wszystkich stronach Stanów. Nim jednak zupełnie zanudymy czytelnika, przedstawmy krótko ludzi, którzy się z tej kotłowniny wynurają; ludzi, którzy najpewniej za 10 miesięcy ubiegają się będą o fotel prezydencki.

A więc republikanie. Na czele kroczy — zarówno z racji dzisiejszego swego urzędu, jak i wyników ankiety Gallupa — wiceprezydent Nixon. Stosunkowo młody, energiczny, zdolny; w czasie choroby prezydenta zachowywał się poprawnie i nie sięgał po władzę. Jednakże wlecz się za nim skandalik finansowy z czasów kampanii wyborczej 1952 r. oraz szereg nieopanowanych, wojowniczych nawet wypowiedzi na tematy międzynarodowe; a to już dzisiaj w Ameryce nie poplaca.

Prezes Sądu Najwyższego Warren. Świetny administrator, poglądy polityczne „middle road” i dwie prześliczne córki. Przeciwno niemu Południe, które rozwścieczył decyzja Sądu Najwyższego, uznająca segregację rasową za działalność sprzeczną z konstytucją. Późa tym sam niechętnie by kandydował.

Najzdolniejszy człowiek w obecnym rządzie Eisenhowera — sekretarz skarbu Humphrey. Wszystkie ponoc zalety, ale podwójny garb: wielki i czynny businessman (łatwy przedmiot ataku) i podeszły wiek.

Dalej dwu weteranów, cierpliwie i bez skutku od lat ubiegających się o te godności — gubernatorowie Stassen i Dewey. Chyba nie się nie zmienią: znowu będą kandydować — chociaż z roku na rok z mniejszym

zapalem — i znowu ich nie wybiorą.

W końcu niesławnej opinii wojownik Knowland: aureola krzyżowca antykomunistycznego nie pomoże mu w tych wyborach, a odwrotnie — czyni rezultat prawie na pewno negatywny. Tak przedstawiają się republikanie, chociaż skrupulatny reestator dodałby jeszcze z trzy-cztery „kare konie” w rodzaju Lodge, generała Gruntheera czy brata prezydenta. Ale my podarujemy to sobie i spojrzmy jeszcze szybko na demokratów.

Tutaj wybija się przede wszystkim nazwisko gubernatora Illinois, Stevenson, niesfortunnie kandydującego już w roku 1952. Duże zalety na meza stanu, poważanie dla polityki zagranicznej Eisenhowera dają mu największe szanse.

Dalej człowiek z bogatą przeszłością. Gubernator Harriman był już bankierem, dyrektorem kolei, pomocnikiem Roosevelta w jego planach „New Dealu”, zręcznym dyplomatą w czasie wojny; uważa się że stoi o metr dalej na lewo niż Stevenson, co przeszkadza mu na Południu. W każdym razie, szanse niewiele mniejsze niż tamten.

Wreszcie senator Keufaver, niedawno bawący z wizytą w Polsce. Nadzieje niewielkie — znowu sprzeciwi mu się Południe, dla którego jest zbyt lewicowy. Poza tym Senat jest klubem ludzi bardzo za zdrosnych: a Keufaverowi powiodło się zabranie wielu głosów swoim kolegom z południowych Stanów.

Nakreśliśmy kilkoma rysami — krócej nawet, niż to się robi w liście gończym — sylwetki zapasników. Nonsensem byłoby oczywiście przewidywać dzisiaj, który z nich zwycięży — szczególnie, gdy nie znamy jeszcze ostatniego słowa

Eisenhowera. Ale na podstawie oceny prasy zachodniej, badań Gallupa i innych wskazówek możemy odpowiedzieć sobie na inne pytanie: jakim warunkom politycznym powinien odpowiadać kandydat, który chce widzieć siebie na prezydenckim fotelu? I tu odpowiedź nie jest trudna.

Po pierwsze — i najważniejsze — musi stać na gruncie polityki współistnienia, zademonstrowanej przez Eisenhowera w Genewie. „Po Genewie — pisał wspomniany już dr Gisevius — nie może być już mowy o wypłynięciu na wierzch grupy Knowland-Radford-Robertson... Natomiast poszukiwani będą ci politycy, którzy z powodu swoich hasel o koegzystencji zepchnięci zostali w cień. Oczywiście, demokraci mają tu większe szanse”.

Po drugie — polityk ten będzie musiał wziąć poważnie pod uwagę postulat nowej, 15-milionowej centrali związkowej, AFL-CIO, która po zjednoczeniu staje się istotną siłą w kampanii wyborczej. Dotychczas związki zawodowe głosowały na demokratów; republikanie czynili też od chwili kongresu zjednoczeniowego uprzejme gesty w ich stronę. Czy ich te gesty przyciągną, zobaczymy.

Po trzecie, umiejętnie podejście do farmerów, którzy stanowią w tej chwili najtrudniejszy problem polityki wewnętrznej. Dotychczas rząd Eisenhowera nie potrafił rozwiązać trudności rolnictwa amerykańskiego. Prezydent obiecał, że w styczniu przedłoży Kongresowi nowe zalecenia. Od tego też czasu zacznie się właściwa rozgrywka o głosy farmerów.

Który z wymienionych polityków — a może ktoś zgłębił inny — będą w oczach amerykańskiego wyborcy spełniać te warunki, zobaczymy za dziesięć miesięcy.

CZY ŻYCIE JEST SCHEMATYCZNE?

SCHEMATYCZNE widzenie świata nie musi być związane z faktem przyjęcia doktrynerskiego punktu widzenia za własny. Schemat nie wywodzi się z takiej czy innej teorii. On tkwi bezpośrednio w technicznej i mechanicznej strukturze cywilizacji współczesnej. Jest funkcją stylu życia, a nie wymysłem pisarzy.

Wiadomo, że najwięcej fantastycznych przygód mieli ludzie całkowicie uzależnieni od przyrody, żyjący w epoce pierwotnej. Toteż nie dziwnego, że większość romansów awanturniczych powstała na tle życia Indian, korsarzy, zbrojów i poszukiwaczy złota. Lecz w miarę jak tryb życia społeczeństw kulturalnych stał się coraz bardziej uregulowany, z natury rzeczy zaczęło zmniejszać się prawdopodobieństwo doznania czegoś nadzwyczajnego w rzeczywistości zorganizowanej do szczegółów właśnie. Wszak cała nasza cywilizacja, bez względu na dzielące ją różnice ustrojowe, konsekwentnie zmierza w tym kierunku, by stopniowo wykluczyć współczynnik nieodczulonego w tak zwanym życiu codziennym i zapanować nie tylko nad tym, co jest, ale i nad tym, co może się zdarzyć. Geometryczna kompozycja dzisiejszego miasta, to widomy znak schematycznego ujęcia i kształtowania przestrzeni, odpowiadających istotnym właściwościom umysłu ludzkiego. Ostatecznie, kto myśli przy pomocy pojęć, ten siłą rzeczy ulega tyrani takim czy innych schematów. Ujmują one rzeczywistość przez analogię z naturą intelektu, który czyni wszystko, z czymkolwiek się zetknie, takim, jakim sam jest, to znaczy: zrozumiałym i jasnym. Nikt nie przeczy, że jest to konieczne ze względów praktycznych, ale proces ten, choć nieuchronny, nie pozostaje bez wpływu na rozwój sztuki współczesnej.

W świecie, gdzie miliony ludzi na obu półkulach codziennie udaje się rano do fabryk, biur i urzędów po to, by spełnić swój obowiązek i wrócić tą samą drogą do domu; w świecie, gdzie wszyscy krążymy wciąż po stałych torach, proces stopniowego odtajemniczenia bytu staje się czymś trudnym do uniknięcia poza sferą naukowej fantastyki, wielkiej przygody podróży i często kryminalnie przyprawionego erotyzmu.

Dzisiaj widać już całkiem jasno, że egzystujemy w sposób coraz bardziej do siebie podobny i dlatego nasze powszednie biografie naprawdę nikogo nie obchodzą, bo im są wierniej podane, tym więcej zawierają w sobie autentycznej nudy i prawdziwego banału.

Właściwie nie wiadomo, skąd zrodziło się to absurdalne w moim pojęciu przekonanie, że wystarczy napisać tak zwaną prawdę o życiu, żeby to było ciekawe i godne uwagi. Istnieje wiele prawd w zasadzie dość oczywistych i nudnych jak flaki z olejem. Gdyby sztuka chciała poprzestać na tym, co jest obiektywnie słuszne i empirycznie sprawdzalne, stałaby się po prostu zbiorem komunałów. Wszak najpewniejsze jest to, co wszyscy wiedzą i o czym nikogo nie trzeba przekonywać. Powieściopisarz może przyjąć owe aksjomaty w charakterze milczących założeń. Jego pogląd na świat powinien zawierać się w strukturze wizji, a nie w tym, co ludzie mówią i o czym próbują ze sobą dyskutować.

W literaturze martwa musi okazać się każda idea, która zamiast być sprawczą przyczyną i konsekwencją ludzkiego działania, znajduje sobie boczne ujście — nie w wywołanych przez siebie obrazach i faktach, ale po prostu w gadaniu. Ponieważ żadne prawdziwe dzieło literackie nie może ograniczyć się do aksjomatów polityki czy socjologii, ani do tego, co już bezspornie stwierdzone zostało gdzieś indziej, artysta z natury rzeczy obowiązany jest do poszukiwania odkrywczych, nowych sformułowań. Jeżeli nie wyprzedza swego czasu i nie potrafi wzbogacić istniejącej już wiedzy o świecie i człowieku, to nie ma go po co czytać, gdyż dublowanie cudzych osiągnięć — tu właśnie mija się z celem. O ile literat ma stworzyć nowy obraz epoki, musi mieć prawo do podejmowania ryzyka na wielką skalę. Inaczej nic nie pokaże. Prawo do błędów jest warunkiem rozwoju kultury. Kto nie błędzi, ten nie posuwa się naprzód. Nie szuka i nie znajduje. Błąd winien zostać wliczony do kalkulacji jako nieunikniony współczynnik postępu. Dopóki jego popelnienie uważane będzie za rzecz niebezpieczną, nikt nie ośmieli się uznać twórczego eksperymentu za absolutnie konieczny element, decydujący o narodzinach nowego nurtu w kulturze.

Dla przeciwników tak czy inaczej pojętego schematyzmu obojętne jest, czy schematyzm wynika z doktrynerswa, czy z mechanizacji bytu codziennego. Oni stawiają sprawę inaczej. Twierdzą, że pisarz może dziś wybierać pomiędzy małym realizmem, czyli dosłownym odwzorowaniem tego, co w gruncie rzeczy nikogo nie obchodzi, a jakąś bardzo niebezpieczną, bo jeszcze u nas niemożliwą, odmianą romantyki rewolucyjnej.

Nie podobna się jednak odwrócić od zwykłych ludzi pod dość wątpliwym pretekstem, że oni siebie w sztuce nawzajem nie interesują, bo

wiedzą o sobie więcej niż ten, co ich określa.

Przecież do nich się dzisiaj wszystko sprowadza! A że niekiedy wydają się nudni? To nie jest przecież ich cecha właściwa i rzeczywista, tylko skutek naszego złego odbioru. Drobniomieszkaństwu nudne wydaje się wszystko, co nieprzeniknione, odrębne i obce, lub nie dające się ująć przez analogię z egzystencją własną.

Przytoczę tu przykład w pewnym sensie już dzisiaj klasyczny. Wiadomo, że praca uznana została przez teoretyków socjalistycznego realizmu za centralną osnowę tematyki współczesnej. Istotne jest to, w jaki sposób zwarty i zgrany kolektyw usprawnia proces produkcji i jak zwalczą tych, co go hamują albo opóźniają. Kawiarziana opozycja od razu podjęła ów motyw i usiłowała dowiedzieć, że ów czysto techniczny opis wytwarzania potrzebnych do życia wartości jest czymś wyjątkowo niewiedzielnym. Przez to — mówiono — żaden czytelnik nie przebrnie. Na tym położył się Kowalewski i zresztą nie tylko on jeden. Dobrze to dzisiaj wiadomo, że właśnie owe produkcyjniaki okazały się po większej części niestrawne. Rzeczony produkt okazał się w rzeczywistości sprawom gwałtowną dynamiką i tempo, którego żaden cynik pedantyczny opis nie wydobędzie. I kto nie splętnął tu niespodzianek

średnio widoczną i śliską. Realizm to tylko punkt wyjścia, aksjomat i mocny fundament, ale nie szczyt zamierzonej konstrukcji. Od tego się zwykle zaczyna, lecz tylko partacz może na tym skończyć. Tak mówią nasi mądrala, a słucha ich młodzież, spragniona wielkiej koncepcji, dość w rzeczy samej przekorna, nieufna i podejrzliwa, jak zawsze na pograniczu dwóch epok. Tymczasem sprytnie wypada, kto tu właściwie ma rację? Czy ci, co widzą w pracy wspaniałą prometejski motyw, któremu świat wszystko zawdzięcza, czy ci, co w imię płytko pojętej atrakcyjności pragnęliby zdegradować ten temat i sprowadzić go do rzędu nudnych pił narzuconych literaturze przez publicystykę, nie znającą wymagań rzemiosła?

Wyczuwam tu jakiś drażniący paradoks. Bo rzeczywiście trudno sobie wyobrazić, by estetycznie obojętne mogły być dla nas czynności decydujące o naszym całym losie, o stylu naszego życia i o poziomie ludzkiej egzystencji. Nie bardzo chce się w to wierzyć. Lecz z drugiej strony trudno nam będzie zaprzeczyć, że powiesiowe relacje dotyczące przebiegu procesów technicznych rzadko się komu udają. Na to potrzeba talentu Zoli czy Kellermana i pod tym kątem widzenia warto by czytelnikom polskim przypomnieć „Germinal”, „Tunel” i — jak słusznie ktoś zwrócił uwagę —

ny dzieł zawdzięczających jej swoje powstanie, w dużej mierze zawiodła oczekiwania swych własnych wyznawców i okazało się w skutkach bezpłodna? A jeśli nie wydobyczo z niej wszystkich potencjalnie w niej utajonych wartości, to czego należy dokonać, by socjalistyczny realizm stał się punktem wyjścia dla płodnej inspiracji twórczej? Jak go podać i co w nim rozwinąć, by się okazał potężnie mobilizującym bodźcem, a nie doktrynerską i ciasno pojętą receptą, dysponującą do mdłej, poprawnej i asekurancyjnej roboty, pozbawionej wszelkich pionierskich ambicji odkrywczych, bez których nie można stworzyć rzeczy doniosłych i ważnych, zasługujących na ludzką uwagę i pamięć przyszłych pokoleń. Wiadomo, że wielka literatura zawsze rodzi się na pograniczu buntu i domniemanej herzezi. Jeżeli ma coś znaczyć, to musi jednych burzać i gorszyć, a innym dawać najwyższe satysfakcje moralne i estetyczne; ksiądzki, które nie wywołują uczucia wściekłości i entuzjazmu, nie mają racji bytu i szkoda się nimi zajmować. Prawdziwa wartość dojrzewa w klimacie ostrej różnicy zdań. I tylko takie pojmovanie kultury odpowiada zasadom dialektycznego myślenia. W atmosferze biernych aprobacji, nie powstało jeszcze nic takiego, na co można by się tu powołać bez wstydu i zażenowania. Inna rzecz, że pewni nasi pisarze, zwłaszcza w roz-

owagł tego pocisku odkręcić, zobaczyć, co jest w środku, bo wie, że wtedy może spowodować „wybuch”, najmniej oczekiwany dla siebie, no i dla swoich współczesnych.

Oczywiście niech nikt nie sądzi, że oto narzucono jakąś gotową literacką teorię poznania, a teraz wystarczy ją tylko mądrze zastosować, by wszystko z niej automatycznie wynikło i mogło zostać sprawdzone w najlepszej zgodzie z faktami. Każdy taki prąd jest tyle wart, ile z niego potrafią wydobyc ludzie, którzy się w nim zanurzyli, nie po to, by w miejscu pozostać, lecz po to, by dać mu się ponieść i zobaczyć, ku czemu ich popchną? I jakie perspektywy przed nimi otworzyły? Nie ma rozwoju kultury bez wielkiej krytyki postulującej, a taka u nas dotąd nie powstała. Uprawiał ją kiedyś Brzozowski i gdyby szłowiekowi o jego zdolnościach dać do ręki ten pasjonujący motyw, to na pewno umiałby w nim dostrzec to, czego my wszyscy razem wcale nie widzimy.

A dopiero z chwilą powstania takiej inspiracji, zaczynają działać prawdziwe podniety twórcze. Krytyk liczy się tylko o tyle, o ile potrafi się stać trenerem pisarza i tak nastawić jego wyobraźnię, by stała się zdolną do odbioru treści dotychczas sobie nieznanych.

Osoście nie wierzę w istnienie żadnej skończonej filozofii sztuki.

ZBIGNIEW DOLECKI

Chłopiec

Lubi czekoladę „Jawa”
lubi czekoladę „Manilla”
Czy tylko dlatego
że czekolada jest taka smaczna?

Gryząc brunatne tafelki
długo patrzy
na morze na jachty
na wyspę i palmy...

Nawet wtedy
gdy kasek ostatni
pod językiem
się stopi.

Później myśli
„Czy kiedyś naprawdę
popłynę takim jachtem
na wyspę gdzie palmy — gdzie palmy...”

Przerywa i myśli
dalej z przestachem
o sobie
żeglarzu nieznanym.

Krzesełko stęsknione

INCE

Jestem krzesełko, krzesełko drewniane
uczynione rękami ludzi.
Tęsknię do życia, do istnienia.

Bowiem bardziej czuję od ludzi
ja: kształt ich rąk z opornego dębu
bardziej pragnę: wyrastać.

Kiedy patrzę — gdy siedzą przy stole,
to skrzyplę cicho, to płaczę,
że oni — tężeją w drzewo.

Bo ja tak kocham, tak zazdrozczę,
im: oddechu, pulsowania żył.
Mnie skaleczyć nawet nie można,
odpada wtedy — tylko drzazga sucha...

A oni — oni — życiem obdarzeni
mchem obrastają, krzepną w twarde słoje
Wyrastać, przerastać — nie pragną.

Brązowe

Brązowe są włosy irlandzkich panien
brązowa ziemia co ciało przygarnie
brązowy jest krzyż w kościelnym krąganku
brązowa w dłoni bliskiej czekolada
brązowe są grzywy lotnych mustangów
brązowe dzwony co radość śpiewają.

A dla mnie: listopada brązowa zgrzebna mgła
Habit przezroczyisty Tajemne ślubowanie.



Rys. Gabriel Rechowicz

i efektownych katastrof, nie zdoła tych maszyn ożywić i sprawić, aby zagrały... Tak. Bo co innego prawda życiowa, a co innego prawda literacka. Te prawdy istnieją przez analogię, ale nie są ani jednowymiarowe, ani jednoznaczne. Literatura rządzi się swoimi prawami i nie wystarczy, żeby coś było prawdziwe, aby było ciekawe i dobre. Między tymi dwoma pojęciami nie można stawiać mechanicznego znaku równania. Wszelka sztuka wywodzi się z „tajemniczej krainy baśni” i interesuje nas tylko o tyle, o ile znany nam świat przetwarza i ukazuje go w nowych, odkrywczych i niespodziewanych proporcjach. Lecz z chwilą, gdy go zaczyna dosłownie powtarzać, od razu staje się nam obojętna. Nikt w książce nie szuka tego, co sam potrafi zobaczyć i spotrzeć. Nie po to ją bierze do ręki, by zetknąć się z wersją potoczna. Realizm posiada wartość o tyle, o ile odłania przed nami głęboko ukrytą treść życia nie dla wszystkich dotychczas „realną”, bezpo-

przed wszystkim Reymonta, „Ziemie obiecane”. W tych dziełach praca nie przesłania życia osobistego bohaterów i nie istnieje w oderwaniu od ich namietności. U nas mało kto umiał zachować te najważniejsze proporcje. Co gorsza — krytyka nasza nie stworzyła estetyki pracy ani wielkiej teorii poznania związanej z tym zagadnieniem. A bez solidnego zaplecza jeszcze niejedyn literat dowiedzie nam swej bezradności. Trzeba, by wspólnie zacząć myśleć nad tym, w jaki sposób uczynić produkcję organicznym współzynnikiem akcji, a nie czymś, co stanowi jej słabo ożywione tło lub mechanicznie doczeponą warstwę opisową.

TU znów powraca to natrączywe pytanie: Czy to prawda, co twierdzą liczni malkontenci, że w obrębie dialektycznej koncepcji kultury nie ma widoków na przesywnie cieżenie schematycznego pojmovania świata? Ze estetyka realizmu socjalistycznego, rozważana od stro-

mowach prywatnych, domagają się takich wszechstronnie ubezpieczających gwarancji, jakich jeszcze nikt dotychczas nie posiadał. I tu trzeba sobie powiedzieć bardzo wyraźnie i szczerze, że twórczość istotnie godna tej nazwy zawsze była i będzie przedsięwzięciem nader ryzykownym, a czasem wręcz niebezpiecznym, bo artysta musi wyprzedzać swój czas, osądzać swoją epokę i mówić o niej rzeczy szalenie dla przeciwników postępu drażniące, a dla współczesnych — nieoczekiwane...

A jeśli tego nie robi, to lepiej, żeby zszedł z widowni i zajął się czymś pozytywnym, gdyż wszędzie tam, gdzie sztuka przestaje być heroiczna i w pewnym sensie walcząca — nie spełnia ona podstawowej swej funkcji społecznej i nie pomaga nikomu iść naprzód.

Wracając do zagadnienia realizmu socjalistycznego, wszyscy zują, że zawiera on w sobie olbrzymi ładunek zupełnie niewykorzystanej inspiracji twórczej, ale nikt nie ma

Realizm socjalistyczny stanie się tym, co zeń potrafią uczynić twórcy, a nie tym, czym jest w swojej obecnej, niesłychanie elementarnej postaci. Najwyższy czas poszukać na terenie obrobie mocnego punktu wyjścia dla samodzielnych i daleko idących, a nader konkretnych rozważań.

Dobrze — ale od czego tu zacząć? Sądzę, że od sformułowań rokujących najlepsze nadzieje rozwoju. Od walki starego z nowym. I tu nie wolno pominąć zagadnienia pracy.

Zawsze mnie zdumiewało, że praca, będąca właściwą osnową naszej egzystencji, nie mobilizuje fantazji i ciekawości artystów w tym stopniu, jak można się było spodziewać po wojnie. Gdzie indziej miałem już okazję stwierdzić, że drobniomieszkaństwo z punktu uznało ten temat za nudny i niezgodny z niktą pociągając. Należy tu też przypomnieć, że inteligencja polska nigdy nie czuła mocno i bezpośrednio tych spraw — praktycznie rzecz biorąc — dalekich jej raczej i obcych.

Przynajmniej od razu, że nawet dzisiaj wielu z nas nie ma zielonego pojęcia o funkcjonowaniu fabryk. Nawet jeśli się patrzeć na ciężki przemysł od zewnątrz, jak na makietę w teatrze. Poprzestając na tyn naszkórkowych doznaniach, niejedyn kompletny dyktant usiłował opisać procesy w istocie sobie niezbrane. Dlaczego? Bo widział technikę bez związku z psychologią, która z niej wyrasta, a takie wiozenie świata zawsze prowadzi do klęski. Inteligentny skazany na schematyzm i behawioryzm jest widowiskiem tragicznym. Kiedy w swoim czasie postawiłem tezę, że o produkcji z natury rzeczy najlepiej będą pisać ci, którym ona zawdzięcza swoje powstanie i rozwój, a więc robotnicy i inżynierowie — moi antagoniści uznali to twierdzenie za podejrzenie i wsteczne. Dopatrzono się w nim próby zniechęcenia pisarzy do tego, co rzekomo nie jest im w pełni dostępne ze względu na brak gruntownej znajomości rzeczy i słabe powiązanie z obcym środowiskiem.

A cóż w tym dziwnego, że baza z biegiem czasu wyłoni ze siebie własne organy poznania? Ten proces wydaje mi się nieuchronny i we wszech miar pożądanym, jako że żadna zewnętrzna obserwacja nie zdoła zastąpić nikomu długoletniego życia się z opisywanym przez siebie środowiskiem. Chciałbym tu zostać dobrze zrozumiany. Nie zamierzam upierać się przy tym, że literat wywodzący się z drobniomieszkaństwa nie jest w stanie napisać dobrej powieści produkcyjnej, bo przecież temu historia literatury, przeczą znane fakty... Natomiast w dalszym ciągu uważam, że żaden wyjazd w teren nie zastąpi człowieka funkcjonalnego zrosnięcia się i zespolenia z najbliższym mu osobie tematem. Ciekawe są nie spostrzeżenia przybysza, tylko praktyka widziana oczami załogi. Na takie dzieła czekamy. Inteligencja twórcza w minimalnym stopniu związana była dotychczas z właściwym procesem produkcji, dlatego źle go wyraża i nie zna się na tym, co pisze.

Na razie trudno oczekiwać w tej dziedzinie wielkich rezultatów, bo nie przyniosła ich przecież dość powierzchowne, dorywcze i mechaniczne kontakty. Czy oznacza to, że wolno nam skapitulować i uznać naszą niekompetencję w tej mierze za rzecz dowiedzioną i pewną?

Oczywiście — nie. Taki wniosek byłby stanowczo przedwczesny. Nic nie może upoważnić pisarza do odwrócenia się od współczesności. Nawet wówczas gdy ona go zdecydowanie przeraża — prowokuje jego ambicje poznać i domaga się pełni wyrazu.

ALE jak ją znaleźć? Gdzie znajduje się klucz sytuacji, ow wielki i zasadniczy temat, którego szukamy? Sądzę, że teza głosząca konieczność walki starego z nowym, stanowi doskonałą bazę wyjściową dla tego rodzaju rozważań.

Henryk Markiewicz w książce o marksistowskiej teorii literatury oświadcza: „Podstawowe zadanie realizmu socjalistycznego, polega na tym, by uchwycić w zjawiskach społecznych i ukazać nowe wartości, to, co dziś dopiero kiełkuje, lecz co reprezentuje tendencje dalszego rozwoju społecznego, by przez afirmację nowego, dopomóc jego zwycięstwu, by nie odrywając się od dnia dzisiejszego, dostrzec w nim zapowiedzi jutra”. A nieco dalej czytamy: „Jest to więc postawa poznawcza, zwrócona w przyszłość, skierowana na zjawiska, które dziś dopiero się krystalizują, lecz zapanują w przyszłości i zapanować powinny, które są marzeniem przechodzącym w rzeczywistość. W metodzie realizmu socjalistycznego organiczną i niezbędną częścią składową jest rewolucyjna romantyka”.

A więc literatura wielkich perspektyw, nie rejestracja drobnych dokuczliwych braków i defektów epoki przejściowej, nie naturalistyczna fotokopia biurokratycznego niedołęstwa, nie ten mały, dostojny, nikogo nie obchodzący, przesytny i nudny realizm, oparty na kulcie szczegółu przesłaniającego całość.

Nie pamiętam, by kiedykolwiek w historii było inaczej. Lecz to, co się wielu naszym krótkowidzom wydaje najbardziej „realne”, w gruncie rzeczy należy już do przeszłości, stanowi typowy produkt rozkładu form egzystencji. Literatura, w której teraźniejszość przesłania dzień jutrzejszy, nie zasługuję na to, by ją poważnie traktować. O istocie wielkiej twórczości nie stanowi reportażowe opisywactwo i poprzestawanie na tym, co każdy może zobaczyć. To nie są żadne ambicje. Na tym podłożu hoduje się nudę i banał. Chcemy konkretnie zobaczyć, ku czemu zmierzamy. Interesuje nas życie w epoce atomowej, zastosowanie olbrzymiej energii dla celów pokojowych, realny i bliski dobrobyt. Napiszcie o tym, w jaki sposób technika przeobraża naszą świadomość z dnia na dzień...

Jest chyba rzeczą jasną dla wszystkich, że ten ze wszech miar pożądaný zwrot ku coraz lepiej widocznej przyszłości: nie może być pożą-

(Dokończenie na str. 8)



„Wszystkie gościńce idejów ...”

W ROKU ubiegłym minęła piąta rocznica tragicznej śmierci Ksawerego Pruszyńskiego. Była to chyba najlepsza okazja do wydania jakiejś możliwej wyczerpującej monografii o autorze „Trzynastu opowieści”. Jak dotychczas, rzecz taka nie ukazała się, choć są u nas ludzie, którzy mogliby ją napisać; widocznie „nie leży” ona w ich planie twórczym. Musimy wobec tego jeszcze poczekać. Skoro jednak brak nam ciągłej publikacji, która przyniosłaby uczciwą wiedzę o Pruszyńskim — pisarzu i Pruszyńskim — człowieku, warto pokusić się chociaż o fragmentaryczne przypomnienie Pruszyńskiego — jako reportażysty.

Wypadło mi ostatnio przejrzeć sporo materiału, dotyczącego już nie tylko twórczości, ale i życia pisarza. Kiedy czytałem kolejno te różnicowe wspomnienia, w których różni ludzie o nim pisali, uderzył mnie pewien znamienny fakt.

Oto niezależnie od mniej lub więcej krytycznej oceny twórczości, zwłaszcza przedwojennej, Pruszyńskiego, wszyscy publicyści zgodni są co do jednego: cechowała go głęboka uczciwość osobista.

GŁĘBOKA uczciwość osobista... Sięgnijmy pamięcią w lata trzydzieste, kiedy to student Wydziału Historii na Uniwersytecie Jagiellońskim *volens volens* obracał się w środowisku butnej, zarozumiałej, a nade wszystko świadomie fałszywzowanej młodzieży korporanckiej. Otóż kiedy pewnego razu (a może i nieraz to się zdarzało) młody Pruszyński był świadkiem czynnej napaści bojówkarzy korporanckich na studentów-Zydzów, niedługo się namyślał i przystąpił do pomocy. Poszła fama, że „filosemita, radykał, socjalista”. Tymczasem rzecz w tym, że nie był socjalistą. Ani wtedy, ani później. Natomiast zawsze, do końca dni swego życia, zachował nienawistnie wszelkiej krzywdy, wszelkiego gwałtu... Zachował postawę czynnego humanisty. I w każdym artykule, w każdym reportażu, w każdym wreszcie opowiadaniu jego swolity, nie związany szczególnie z jakąś doktryną polityczną humanizm będzie się wyraźnie przejawiał. Humanizm w połączeniu z wielkim umiłowaniem ojczyzny: afirmowaniem jej bogatej w tradycję historii, pochwałą ludu polskiego i piękną rodzimym kraj- obrazem... Dołączmy do tego docieklivość szperacza-historyka i globtroterską pasję reportera żadnego wiedzy o życiu innych krajów.

Czytając dość na ogół niełeczne wspomnienia o Pruszyńskim, rozsiane w naszej powojennej prasie, znajdziemy wzmianki o tym, jak to przyszedł autor „Podróży po Polsce” wyzwał się w miarę dojrzenia światopoglądowego z różnych obciążeń ideologicznych swego „środowiska ziemianiskich konserwatystów”, wśród których to obciążen nieopóźnionie miejsce zajmował m. in. mit piśmudczyzny. I tak rzeczywistość była. Musiało tak być, ponieważ jedną z głównych cech pisarstwa Pruszyńskiego była trzeźwa ocena otaczającej go rzeczywistości.

Natomiast dość znamienny — a właściwie nie bardzo uzasadniony — jest fakt przemilczania Pruszyńskiego w biografach Pruszyńskiego jego zupełnie określonego i zdecydowanego światopoglądu religijnego. Ksawery Pruszyński był katolikiem. Co więcej, był pisarzem katolickim. Wszędą do tej sprawy powrócimy jeszcze osobno.

TRUDNO dziś zdobyć którąś z przedwojennych publikacji Pruszyńskiego.

Publikacji tych, recte zbiorów reportażów, wydanych do roku 1939, reportażów, które wysunęły Pruszyńskiego na czoło polskiej publicystyki, które z jednej strony przyczyniły mu wielu wrogów, z drugiej zaś — zjednały mu zwolenników wśród ludzi, których przekonania były mu zupełnie obce — nie było tak

znowu wiele. „Sarajewo — 1914, Szanghaj — 1932, Gdańsk — ?”, „Palestyna po raz trzeci”, „Podróż po Polsce”, cykl reportaży z Czechosłowacji, no i oczywiście „W czerwonej Hiszpanii”. To chyba wszystko, co ukazało się w wydaniu książkowym. A okres wojenny? Słynna powieść-reportaż „Droga wiodła przez Narwik”, broszura o margrabim Wielopolskim, „Rosijski rok” — nieznaną na ogół publikacją, wydana po angielsku, wreszcie 21 znakomitych opowiadań i dwie niedokończony prace o Kościuszcze i Mickiewiczu. Poza tym wiele artykułów i reportaży rozsypanych w prasie przedwojennej i emigracyjnej. Oto chyba i cały dorobek pisarza.

WIEAMY wszyscy, co się działo w Niemczech w roku 1932... Z konsekwencji, jakie płynęły dla Polski z panoszenia się hitleryzmu w kraju Goethego i Schillera, zdawali sobie u nas sprawę przede wszystkim ci, którym odmawiano prawa nie tylko do współzrządzenia, ale i głoszenia swych poglądów. Nasi rodzimi „mocarstwowcy” przewidywali wprawdzie możliwość wojny, snuli jednak jakieś bardziej fantastyczne niż realne plany strategiczne typu „Drang nach Osten”. I w takim stanie rzeczy młody dziennikarz Ksawery Pruszyński, skądinąd daleki poglądom polskiej lewicy, jeździł do Gdańska, przyglądał się tu wyrykom hitlerowskich bojówek, słuchał wrzasków na temat „korytarza”, dostrzegał rozbudzanie i ciągłe narastanie szowinistycznych nastrojów, wreszcie sprawozdanie swoje opatrzył tytułem: „Sarajewo — 1914, Szanghaj — 1932, Gdańsk — ?”. Ten znak zapytania przy Gdańsku, zamieniony w siedem lat później przez historię w tragiczny rok 1939 — to właśnie jeden z pierwszych przejawów realizmu politycznego Pruszyńskiego. Jest w tym pewien paradoks, że właśnie ów przedstawiciel środowiska ziemianiskich konserwatystów odpowiadał na pytanie, wszelkiego gwałtu... Zachował postawę czynnego humanisty. I w każdym artykule, w każdym reportażu, w każdym wreszcie opowiadaniu jego swolity, nie związany szczególnie z jakąś doktryną polityczną humanizm będzie się wyraźnie przejawiał. Humanizm w połączeniu z wielkim umiłowaniem ojczyzny: afirmowaniem jej bogatej w tradycję historii, pochwałą ludu polskiego i piękną rodzimym kraj- obrazem... Dołączmy do tego docieklivość szperacza-historyka i globtroterską pasję reportera żadnego wiedzy o życiu innych krajów.

Oto np. jest rzeczą powszechnie znaną, że u początków swej kariery pisarskiej Pruszyński „terminował” u znanego zarówno ze swych konserwatywnych przekonań, jak i ciętego pióra St. Cat-Mackiewicza, wydawcy wileńskiego „Słowa”. Jak dalece rozszły się drogi mistrza i ucznia świadczy fakt, że stary Cat do dziś dnia broni „polskiej racji stanu” w Londynie, podczas gdy Pruszyński w roku 1945 przyjechał do kraju, aby ofiarować mu swoje siły. Przyjechał, nie omisszkawszy przedtem doprowadzić niemal do białej gorączki całej góry dziennikarskiej emigracji swym *voium separatum* wobec ogólnie aprobowanej uchwały, że dziennikarstwo i publicystyka polskiemu nie wolno przyczynić wyrażać się o... Związku Radzieckim. Swym wystąpieniem Pruszyński protestował nie tylko przeciw ograniczeniu wolności piśmarni, lecz i przeciw wrogiemu postawie wobec Rosji. Jest to jeden z sześciu dowodów dojrzałości politycznej i przenikliwej oceny rzeczywistości Pruszyńskiego, który już wtedy dostrzegł dziejową potrzebę sojuszu Polski ze Związkiem Radzieckim. Ale nie tylko o to chodzi. Pruszyńskiego zawsze cechował *sui generis* duch przekory, skłonność do opozycjonizmu. Słowem — własny, na wskroś indywidualny stosunek do spraw tego świata, nie związany z żadną doktryną polityczną, nie mówiąc już o jakimś grupowaniu, stronnictwie czy partii. Ten indywidualizm jednak mu więcej wrogów niż zwolenników, ale to już Pruszyńskiemu było obojętne. Porywała go walka, głoszenie tego, co uważał za słuszne. Był najszcześliwszy, kiedy jego odosobnione zdanie rozpalalo dyskusję, kiedy budził z odrętwienia. Wtedy odchodził zadowolony.

YL Pruszyński dobrym diagnostą, kiedy w reportażu z demonstracji 1-majowej we Lwowie p.

Henryk Kmita

„Wśród szkła i plakatów” pisał o szczególnej klęsce bezrobocia w tym mieście, o całkowitym zastoj gospodarczym i budowlanym. W czasie, kiedy lansuje się ogólnie szumna hasła, że na południowych kresach Rzeczypospolitej Lwów jest bastionem polskości, Pruszyński stwierdza: „Ludzie nie chcą mieszkać i budować się w bastionie. Miasto się nie buduje i nie będzie się budowało, póki trwać to będzie nastroj niepokoju, walki i zamieszek ulicznych...”

Jak się to dzieje — zapytuje Pruszyński — że w tym mieście, które prawie nie ma robotników, w którym ruch socjalistyczny snuł się dotąd anemicznie wciśnięty w walki nacjonalizmów, „rusza nagle pochód, w którym szli tawą wszyscy — Polacy, Ukraińcy, Rusini i Żydzi... Stanisławów, Wasylów i Mojżeszów znajdziemy na liście rannych i aresztowanych uczestników pochodu”.

Ta rzeczowa relacja musiała być bardzo nie w smak sanacyjnym władcom. Niosła ze sobą zapowiedź końca i potężnego.

BYL Pruszyński dobrym diagnostą, kiedy pisząc o budowie zapory wodnej w Rożnowie, z jednej strony podkreśla wagę gospodarczą tego rodzaju inwestycji, z drugiej zaś — ukazuje rolę zagranicznego kapitału w tej imprezie, fantastyczne zarobki francuskich inżynierów. Z jednej strony — wyraża zadowolenie, że około 2 tys. robotników znalazło tu zatrudnienie, z drugiej zaś — nie przynika oczu na fakt, że większość z nich otrzymuje za swą ciężką pracę głodowe dniwki, jeśli nie posiada konia z wozem. I wreszcie wniosek końcowy reportażu, brzmiący bez mała jak oskarżenie ustroju, w którym marnują się i giną żywotne siły narodu:

„Ale w Polsce jest nie parę tysięcy, ale dziewięć milionów ludzi, których praca jest mała lub żadna. I w porównaniu z tym Rożnowy i Porabki są nieskończenie małe. To tak, jakby wyszyskiwały jedną setną tej masy wód, która spływa Solą i Dunajcem ku Wiśle, jedną tysięczną, a reszta jakby płynęła sobie dalej, po staremu zalewając pola, znosząc z prądem powodzi domy”.

CHYBA w żadnym innym reportażu z cyklu „Podróż po Polsce” nie występuje tak przejmujący konflikt między Pruszyńskim-marzycielem i piewca kresów a Pruszyńskim-realistą, głosicielem prawdy o tych kresach, jak właśnie w reportażu „Prawo do Wołynia”. Kresy były krajem lat dziecińczych Pruszyńskiego, nie więc dziwnego, że darzył je szczególnym sentymentem, że z wrodzoną sobie maestrią opisywał ich dzieje, piękno krajobrazu i zabytków, obyczaj ludności. Ale tu właśnie zaczynała się tragedia. Na tych ziemiach prócz osiadłych tu od dawna Poleków mieszkali również, zepchnięci do roli pariasów, prawowici ich właściciele — Białorusini i Ukraińcy. I oto Pruszyński, zawsze czuły na ludzką krzywdę, widzi całe zło wyrządzone tym ludzkom przez nieudolną, pozabawioną skrępułoty politykę sanacji. Pruszyński zwiędza Krzemieniec, miasto związane z życiem Słowackiego, miasto-klejnót, miasto-pamiętkę. A jednocześnie pisze: „Powiedziano ze strony polskiej w roku 1918 — prawa do Wołynia nabywa się przez jego kulturę. Nabywa, kto ją rozszerza, traci więc, kto pomniejsza. Ale kultura to nie tylko zabytki i pamiętki, to również właściwy stosunek do miejscowej mniejszości narodowej, która na Wołyniu wydaje się być większością. Cóż daje Polska tym młodym Ukraińcom?”

W odpowiedzi Pruszyński opisuje swoje spotkanie z pastuchem Radionem, „którego państwo polskie wzięło do szkoły, nauczyło rzeczy pozytywne i całkiem zbędnych i wypuściło z powrotem na łąkę”. Wstrząsająca jest w reportażu scena, kiedy pastuch Radion recytuje po francusku (straszliwym akcentem, bez zrozumienia sensu) wiersz La Fontaine’a: „Metr korbo siur e arbr peszy Tene dan za bek e fro-maż...” A potem poważnie dodaje:

„A teper to na korowu po francusku klyczu!” Oto zdobycze kultury i cywilizacji!

Obdarty pastuch na Wołyniu może krzyknąć na krowy po francusku. Czyż potrzebne tu komentarze? W tymże reportażu mamy krótką wzmiankę o tym, jak to inny młody Ukraińiec, Ulas Samczuk, został przytrzymany przy uściwianiu przejścia granicy radzieckiej: uciekał do Charkowa na uniwersytet ukraiński.

Zaprawdę, bolesne są plony reportażu Pruszyńskiego, dalekiego wówczas od sympatii proradzieckich, reportażu, w którym uczciwie podane przez autora fakty mówią same za siebie.

NIE wydaje mi się możliwe wiązanie katolicyzmu, wielkiej religii, z pewnym jednym typem ustroju gospodarczego”. Słowa te zostały napisane przez Pruszyńskiego w roku 1936 pod wrażeniem pewnego ślubowania, które w Częstochowie składała młodzież akademicka z całego kraju. Młodzież kierowana przez endecję. Pruszyński wiedział, czym jest faszyzm; może nie tak dokładnie, jak my dziś z perspektywy lat okupacji, ale wiedział. Zawsze był przeciwny sprzecznym z zasadami elementarnego humanitaryzmu hasłom szowinistycznym i nacjonalistycznym. I zawsze występował przeciwko antysemityzmowi. A właśnie te hasła wypisał na swych sztandarach Obóz Narodowy. I dlatego owo ślubowanie młodzieży akademickiej, owa przysięga na wierność Matce Boskiej, gdzie się mówiło, że „wiary naszej bronąć i według niej rządzić się będziemy w życiu naszym osobistym, rodzinnym, społecznym, narodowym, państwowym” — nie wzbudziło w nim radości ani dumy. Czuł w tym frazes, przed patos, a może i fałsz... Przed wejściem do kościoła, przed ślubowaniem, z tłumem padały okrzyki: „Niech żyje Polska narodo, przez z Żydami!” Dlatego cytując słowa ślubowania Pruszyński opatrzył je lapidarnym komentarzem: „Bardzo dużo. Albo bardzo mało”. Tę całą ceremonię, obłożoną na efekt, a nie mającą nic wspólnego z wyznaniem wiary opartej na prawdziwej miłości Boga i prawdziwej miłości bliźniego Pruszyński-katolik nazywa krótko: „czad ziej religijności”.

Kiedy w latach hiszpańskiej wojny domowej Pruszyński-reporter znalazł się po lewej stronie barykady — w kraju zapanowała duża konsternacja. Cóż go mogło do tego skłonić? Przecież jak dotąd nigdy się nie opowiadał za rewolucjami ani w kraju, ani za granicą. A kiedy zaczęły przychodzić korespondencje, których autor z wielką sympatią opowiadał polskiemu czytelnikowi o zmaganiach ludu hiszpańskiego z wrogami Franco — było jasne, że Pruszyński nie czyni tego wszystkiego dla oryginalności i przez przekórę. W zasadzie pacyfista — nie solidaryzował się z metodami walki ani jednej, ani drugiej strony, ale jeśli chodzi o cel — bez wahania przyznawał rację „czerwonym”. Walczył przeciw zrodzonym faszyzmem, na którego tropach był Pruszyński i w Gdańsku, i w Czechosłowacji, no i we własnej ojczyźnie.

Niewątpliwie najciekawsze, a jednocześnie najbardziej znamienne dla publicystyczno-reporterskiej twórczości Pruszyńskiego-katolika są w książce o czerwonej Hiszpanii karty poświęcone pełnemu podziwu i entuzjazmu opisowi starego („starszego od Hellady”) kraju Basków, którego półtoramilionowa ludność, choć znalazła się również w ogniu rewolucji, nie przestała być ultrakatolicka, jaką była od wieków. „Jeśli Kościół w kraju Basków ocalał” — pisze Pruszyński znamienne słowa — „zasługa tego była jego własna, istotna moc, nie oparta na pieniądzu, nie oparta na systemie rządów, oparta na masie ludzkiej”.

JEST w dorobku reporterskim Pruszyńskiego książka, która jak zresztą i wszystkie inne wywołała wiele sprzecznych osądów. To „Pa-

lestyna po raz trzeci”. Dlaczego — „po raz trzeci”? Po raz pierwszy — bogate i nie bez wpływu na historię świata dzieje hebraizmu, po raz drugi — wyprawy krzyżowe. Teraz — konkluduje autor, a jest to rok 1935 — czas na stworzenie państwa żydowskiego na nowych współczesnych zasadach... Skąd u Pruszyńskiego powstał projekt zwiedzenia i opisanie Palestyny? Ze zwykłej globtrotersko-reporterskiej ciekawości? Nie, to nie był powód zasadniczy. Kwestia żydowska nurtowała go od dawna. Jak wiemy, od czasów uniwersyteckich. Fala narastającego antysemityzmu budziła w nim niepokój, potem oburzenie. Nęcza proletariatu żydowskiego w Polsce, która w połączeniu z nędzą biedoty chłopskiej przynosiła zająścia w rodzaju Przymytku, wybrki antysemickie w miastach — to wszystko głęboko nurtuje Pruszyńskiego i w konkluzji powoduje jego podróż do Palestyny, gdzie bada możliwości imigracji Żydów z Polski. Jest zachwycony energią tych imigrantów, sposobami ich gospodarowania. Słowem chciał jak najlepiej — w rezultacie pomówiono go o sprzyjanie idei syjonizmu.

Chciałbym jeszcze przy okazji omawiania pobytu Pruszyńskiego w Palestynie ukażać ten moment, w którym z dziennikarza zachwalającego budzące dziś zastrzeżenia formy ekonomiczne przedziera się on w... reportera-pielgrzyma. Kiedy jako katolik, obdarzony niecodziennym i nieprzeciętnym darem utrwalania swych przeżyć, opisuje nam swój pobyt w miejscu tak bliskim sercom chrześcijan — w Jeruzolimie. Oto odsunawszy od siebie „wszystkie dzienne sprawy” podąża Pruszyński wraz z grupą pątników Droga Krzyżową.

Postulujemy: „Jest tłok, deszcz jest teraz ulewny, idziemy jeszcze wolniej. Oto tam minęliśmy miejsce, gdzie upadł po raz pierwszy pod ciężarem Drzewa i tam gdzie powtórnie, i tam gdzie strażę zawrócił Cyrenańczyk...”

„Stacja idzie po stacji. Jesteśmy coraz bliżej Grobu. To takie dziwne — ale to jakbyśmy idąc tak od stacji do stacji, od śladu do śladu wyszli z siebie, z tego „siebie”, którym jesteśmy, i z naszego czasu i wieku. Jakbyśmy byli coraz bliżej tamtego wszystkiego...”

„Dzieje się rzecz bardzo prosta, o której uczy z amfony każdy proboszcz, w każdej zabłędzie od świata parafii, i mówi najjaśniejsza księżka do nabożeństwa: — oto nie dzieli nas już od Pasji Pańskiej nic. W myśli i w modlitwy wiązka skądś okropnie zużycie prowadzone na każdą Stracenicę i wroga ciekawość roznieścionej cłby, i bezła ty też bardzo niewiele, i cała bogostawiona a potworna owych chwil zgroza...”

Z KLASYCZNYM, pełnym indywidualnego stylu i kolorytu reportażem Pruszyńskiego rozstajemy się w jego jedynym, zakrojonym na miarę sporej powieści utworze pt. „Droga wiodła przez Narwik”. Ale nie jest to powieść sensu stricto. Dlaczego? Kazimierz Wyka w swym „Pograniczu powieści” pisze: „Droga” nie stała się powieścią naprawdę, a przestała być dokumentem takim, jak przedwojenne książki Pruszyńskiego. „Książka ta — konkluduje Wyka — cierpi na niedosyt faktów typowych, a przester komentarza”. Powstaje więc kwestia, dlaczego Pruszyński zrezygnował tu z formy reportażu, w której był mistrzem, a sięgnął po nowy gatunek literacki, z którym trudniej mu się było uporać: Czy to tylko próba możliwości w zakresie beletrystyki? „Nie. Zawierucha wojenna, okupacja kraju, zamęt ideologiczny środowiska emigracyjnego — wszystko to nie stwarzało możliwości pisanie reportażu, ponieważ — jak słusznie postuluje to K. Wyka — „reportaż domaga się wyrażenia i natychmiastowego adresu, przed którym się odsłania i unocenia rzecz przez niego mało dostrzeżaną”. Dlatego właśnie Pruszyński pokusił się dla swych narwickich wspomnień o formę trwalszą niż reportaż.

Wiemy, że o ile „Droga” obciążona nadmiernie komentarza i czysto publicystycznej polemiki nie zdała

swego egzaminu jako utwór beletrystyczny, o tyle przeżycia wojenne autora i jego towarzyszy broni zamknięte w kształt opowiadań, gdzie fikcja w sposób kunsztowny przeplata się z prawdą, stanowią duży krok — choć niestety, ostatni — w kierunku literatury.

Ale wróćmy do reportażu — opowieści o Narviku. Co chciał przekazać Pruszyński czytelnikowi, nie znanemu jeszcze dziesiątkom tysięcy Polaków ginących na brytyjskich morzach i w brytyjskiej flocie powietrznej, na polach Francji, na ziemi włoskiej, skandynawskiej, a nawet afrykańskiej? Oczywiście, rozgromienie potęgi hitlerowskiej, a co za tym idzie — przywrócenie pokoju na świecie. Czy to wszystko? Nie. Tym Polakom przyswieca myśl o wolnym kraju, o ojczyźnie, której przecież większość z nich już nigdy nie zobaczy. Myśl o ojczyźnie, która odrodzi się na innych niż przedwojenne zasady, ojczyźnie, w której hasła równości i braterstwa nie będą jak przedtem słowami bez pokrycia. Nie po to przelewali swą krew, aby znów powstała „mała Polska rządzących i wielka Polska pokornych i nieliczna — włodarzy”. Słowami kapelana pułkowego, żegnającego poległych, Pruszyński rozłącza przed czytelnikiem wizję tej nowej, odróżnionej Polski, której obywatel nie będzie nigdy „mieśm żołnierskim szafowanym bez uwagi i bez pamięci, a jedynie elementem najcenniejszym, poświęcanym celowo i mądrze”. Polski, w której będzie miejsce dla każdego i praca dla każdego i dla każdego za jego pracę szacunek. Jeśli tak się stanie — konkluduje autor — śmierć tych żołnierzy-tułaczy nie poszła na marne.

„Albowiem to wam powiadam, największe ofiary można ponieść, największe można znieść męki, jeśli istnieje cel naprawdę porywający, wielki, realny, powszechny, jeśli w jego spełnieniu będziemy żyli nawet wtedy, gdy sami pójdziemy zań w grób”.

„Albowiem to wam powiadam, największe ofiary można ponieść, największe można znieść męki, jeśli istnieje cel naprawdę porywający, wielki, realny, powszechny, jeśli w jego spełnieniu będziemy żyli nawet wtedy, gdy sami pójdziemy zań w grób”.

OSOBNEGO omówienia domaga się sam warsztat pisarski autora „Podróży po Polsce”. Precyzja słowa i myśli, „ów sienkiewiczowski patos nieustanny”, metaforyka wywodząca się od Zeromskiego. A jednocześnie styl Pruszyńskiego jest na wskroś indywidualny, oryginalny i tak dalece niepowtarzalny, że — jak twierdził znawcy — wprost niesposób jest tłumaczyć jego utwory na języki obce, jeśli się chce zachować właściwy ich koloryt.

A wielka erudycja, głęboka wiedza historyczna, znajomość dziejów już nie tylko ojczystego kraju, ale i tych wszystkich, o których tak porywająco pisał w swych reportażach, a później i w opowiadaniach.

Wierzę, że ktoś podejmie trud szerokiej i wnikliwej oceny tak niezwykłej osobowości twórczej, jaką w naszej literaturze był Ksawery Pruszyński.

W OKAZYJNIE nabytym przeze mnie egzemplarzu „Podróży po Polsce” znalazłem na wewnętrznej stronie okładki, umieszczony tam nieznaną ręką cytaty z Zeromskiego...

„Wtrącał się wszędzie, był wszędzie, poeta, błęny Don-Kichot, Rycerz-Bandos.”

Deptał studzonymi nogami wszystkie gościńce idejów swoją własną, żadnej nazwać nie mogąc, bo oczy niedoścignięła porwała dal, a stopy palił sandał z piomienia”.

Zamyśliłem się nad tymi słowami, które miały najkrócej scharakteryzować twórczą sylwetkę Pruszyńskiego. Tak, jest w tym wiele prawdy o nim. Ale zaraz wzbudziła mój sprzeciw płynąca z cytatu sugestia błędzenia w bezideowości. Błądził, to prawda, ale swoiście, po swojemu wierny był i zaciekle walczył o swą naczelną ideę — nieustającą troskę o sprawę Polski i sprawę Polaków.

W CZERWONEJ HISZPANII



Montoro

OKOŁO ósmej wieczór syreny daly znać nadlot samolotów. Padło kilkanaście bomb.

Wyszedłem po półgodzinie. W paru miejscach bliższych centrum, przy pocztach, ministerstwie wojny, wielkich hotelach, dogorzewały dymy. Nie było straży pożarnej. Kręcili się za to jacyś ludzie, bez żadnych politycznych odznak, ale z bardzo wyraźnymi, choć nieśmiałoimi jeszcze, grabieżowymi zamiarami. Jakież wietrzące za resztkami „niezrewidowanych“ portfeli, tchórzliwe, w mrok uciekające za lada krokiem, ale czujne hieny. Wracając ulicą zabłądziłem. Na przeciwnym trotuarze usłyszałem jakieś szybkie kroki. Przeszedłem na tę stronę. Kroki stały się szybsze, coraz szybsze, przynaglilem. Dopadły wszędzie jegomościa, zaczęłam go pytać, jak trafić na moją ulicę. W ciemności zaczął bełkotać coś strwożonym głosem. Wyjaśnił z trudem, że nie ma broni. Wtedy zobaczyłem w ciemnościach, że podniósł ręce do góry i trzyma je ciągle. Musiałem go dobrze uspokoić, nim zrozumiał, o co mi chodzi. Okazało się, że odszedłem daleko od domu i że jest jedenasta. Nie miałem przepustki nocejnej, ale też nikt tego już nie pilnował. Gdzieś daleko spieszyły czasem jakieś kroki, ktoś dopadał bramy. Słyszało się wszystko tak zdwojennie, jakby na czarne miasto ktoś nałożył ogromny megafon. Straży karabinowe klekotały już ze wszystkich stron miasta. Cisza przybliżyła je jeszcze. Mogłem prawie z taką samą pewnością spotkać tu pierwszy patrol Maurów, co ostatni rządowców.

Od wąskiej Fuencarral dopadłem do Gran Via, potem do Alcala, schodziłem szybko w dół, włączyłem w ogromnych, zaróżowionych czasem odbłaskami pożarów ciemnościach. Latarni nie palono od miesięcy. Nagle, przy Alcala, od bulwarów, którymi często szło wojsko, zaczął wpadać w tę przejmującą ciszę jakiś stłumiony, daleki jeszcze, werbel bębnowy wojskowych. Nie było wątpliwości: bębny. Stałem w miejscu, słuchałem i czekałem. W ciemnej ulicy, w której domy porównywały szarawo, pod zrudziałym lunami niebem, bito w werbel. Potężny łoskot werbla huczał jak echem. Werbel był coraz bliższy. Teraz podszyczał go jeszcze turkot kroków maszerujących oddziałów. Musiały maszerować tu chyba całe kompanie, może pułk, brygada, tak ten miarowy krok, wyliczony łoskot tysięcy stąpników, wbił się w wyludnie miasto, w ciemność, w wyczekiwanie, w najstraszniejszą rzecz — ciszę wojny. Rytm marszu nawijał wokół siebie wszystkie inne odgłosy, gęstniał nimi, przywracał jakiś ład. Ale wojska dalej nie było widać. Naraz, tak samo potężnie, buchnął śpiew:

Arriba, parias de la terra,
En pie, f-mélica legion;

jących oddziałów, grzmiał po ulicach Madrytu łoskot żołnierskich werbli, których nie było. To ludziom walczącym na przedmieściach ona jedna niosła wieść o tym, że za ich plecami coś żyje, śpieszy z odsieczą i walczy.

*

MSZA rozpoczęła się w chwili po naszym odejściu z obchodu pozycji pod Ochandiano, tuż koło zakrętu drogi, gdzie idąc na linię, zostawiliśmy nasz samochód. Ołtarzem były dwie duże skrzynie od konserw, oparte mocno o drzewo. Dwa gumowe piaszeczki żołnierskie, z obrzymimi połami i kapturami wsparto w gałęzie tak, że tworzyły szarą osłaniającą ścianę. Małe żółte świeczki mogły teraz migotać bez względu na silny wiatr i na mokry, padający wciąż śnieg. W gałęziach szamotał się jeszcze z wiatrem duży sztandar baskijski, czerwony z białym krzyżem — symbolem chrześcijaństwa w środku i z zielonym krzyżem poprzecznym po przekątniach, tzw. krzyżem św. Andrzeja, w którego to dniu w w. VIII plemiona baskijskie odniosły wielkie zwycięstwo nad najeźdźcami z Kastylii. Dopiero w cieniu tego wszystkiego rozpostarł się biały, zwyczajny, ale niezwykle tu wyglądający obrus, zajaśniał złoty kościelny kielich, przykryty pateną. Mszалу dużego nie było. Ksiądz czytał swe modlitwy z niewielkiego modlitewnika, w którym są zresztą wszystkie modlitwy Mszy świętej. Był to ten sam młodzik żołnierz, którego poznaliśmy przed chwilą. Spod ornatu i komży wyglądały grube, komiśne buty. Były takie same, jakie nam dano na półście do okopów i które z rosyjska nazywano „katuszkami“. Służyło do Mszy dwóch milicjantów otulonych w szerokie ciemne piaszeczki. Wokół drzewa i ołtarza, trzema wielkimi półkami, stanęli wszyscy żołnierze batalionu, którzy nie mieli służby. Śnieg stąpił się u naszych nóg w mokre, zimne błoto, przesłaniał kontury drzew i gór, osiadał na odkrytych głowach. Nastąpiła cisza, w której słychać było tylko wyraźny, znany jak pacierz, rytm modłów łacińskich i łoskot oderwanych strażów dochodzący z okopów. W linii powietrznej najbliższe pozycje, zastopione teraz zboczem, były o trzysta metrów. Ksiądz powiedział u stóp ołtarza: „Introito ad altare Dei“. Ministranci odpowiedzieli głośno: „Ad Deum qui laetificat juventutem meam“. Słowa od stułeci drżące w mszalach oplecione bluszcem iluminowanych barwnych miniatur, leciały teraz z wiatrem w pustkę górską. Za-

wzdłuż Ebra. Karabin maszynowy zaszczekotał donośnie, gdy ksiądz powtarzał greckie „Kyrie Elejson“. Pasternki dzwonek rozdźwięczał się w ręku schylonych milicjantów na Ofiarowanie. Odprawiała się jedna z niedzielnych Mszy świętych na jednym z odcinków baskijskiego frontu.

W tym świecie dzisiejszym, który nas w miastach, w wielkich kłębowiskach, wymieszal, wierzących i obojętnych, różnych religii i żadnej, Msza oddaliła się już, zatarła swe wyraziste kontury, jak stara moneta, wytarta od użycia, machinalnie przesuwana z rąk do rąk. W kościele dzisiejszym ołtarz, niegdys w środku jego, oddalił się na sam kraniec. Zamiast ludu, który odpowiadał księdzu i współuczestniczył w Ofierze, stanęli dwaj ministranci. Słowa modlitw, nawet te najpiękniejsze, owe „Ad Deum qui laetificat juventutem meam“, owe „Asperges me hyssopo et super nivem dealbabor“, ściszyły się dziś w szept nie dotalający do tłumu, zrozumiały dla wielu, niewytłumaczony w swym sensie. Nieprzyjaciel z owego „quare tristis incedo dum affligit me inimicus“ stał się czymś niejasnym, niewiadomym, dlaczego o nim tu właśnie, teraz i tak mowa. Wielkie słowa o „par nobiscum“ oderwały się od życia. Wiara i uczestnictwo katolika skupiły się całe jeszcze na jednym momencie, największym, na Przemienieniu chleba i wina, i potem, na momencie Komunii. Msza stała się takim kościołem o wieczorze, kiedy ze wszystkich ścian stopniowo spływa zmrok, aż światło migocze tylko w środku, płomykiem oliwnej lampki. Ale teraz tego wszystkiego nie ma. Wszystko jest jak dawniej. Nie ma barokowych ołtarzy w chmurze, draperie złożone i tułste aniołki. Nie ma bogatego tabernaculum, za strop cały gałęzie buku, bezlistne, przybrane jedynie w sztandar baskijski. Kościołem Ofiary są góry Pagotichiel, niedostępne i pustynne, całe w śniegu i błocie mokrej, demorskiej zimy. Ludzie przybliżyli się do ołtarza, obstarpił go wkoło, jak w świątyniach rromańskich, są blisko. Słowa księdza płyną wyraźnie w powietrzu, nic z nich nie ginie, każdy widzi każdy jego ruch, każdy współuczestniczy. Coś jeszcze większego spaja i odnawia to wszystko Ołtarz nie obstarpił ludzie starzy, bojący się śmierci. Obstarpił go młodzi, i ci młodzi patrzyli codziennie i co godzina śmierci w oczy. Ten ksiądz, który teraz celebrował w jasnym ornatie, jest ich towarzyszem. Spi na jednej przyczy z nimi, je z jednego kotła, a jeśli sam karabinu nie dźwiga, to przecież pełni przy nich, w linii, służbę pomocniczą dozwoloną przez kanony kościelne. Jeszcze jedna odrodzona wspólnota. To, co on głosi, jest dla nich zrozumiałe, bo nie ma mowy bardziej łacińskiej niż hiszpańska, to, co on głosi, jest im ponadto bliższe. Ow Bóg, do którego ołtarza ów ksiądz, jak mówi w pierwszych słowach Mszy świętej, podchodził, naprawdę dziś „laetificat juventutem“ tych młodych. Zapytanie księdza „quare conturbas me“ wydobyla jeszcze jedną z wojennych udręk sumienia. „Spera in Deo“, stare słowa, napływają nową nadzieją, nadzieją ludzi walczących z siłą przemożną, nadzieją bijącego się o swój był własny narodu. „Quoniam adhuc confiteor illi“ — „albowiem wyznałem mu wszystko“.

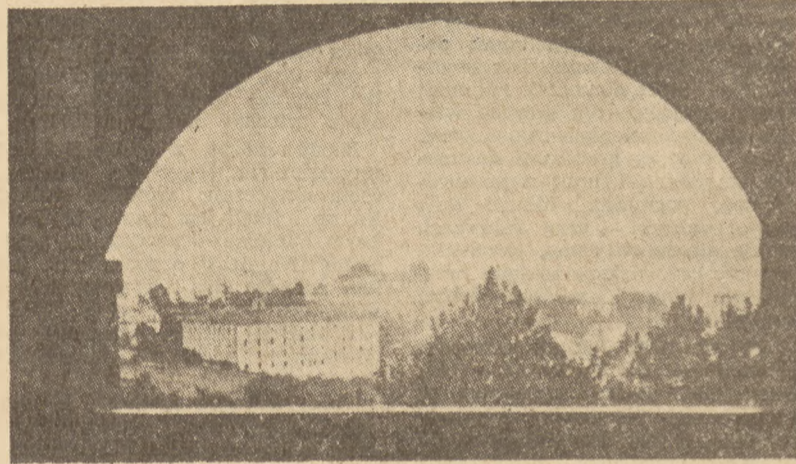
Ci ludzie naprawdę się spowiadają, powtarzając za księdzem: „mea culpa, mea culpa, mea maxima culpa“. Powietrze przesiękły znowu gęścią strzały karabinu maszynowego, a oto ksiądz mówi, niestrzyżymym, dwutysiącletnim śladem tej modlitwy swoje wezwania: „sursum corda“, i tłum odpowiada mu, jak wszędzie i zawsze, a inaczej niż zawsze, że te serca ma wzniesione w górę, że ma je w Bogu: „Habemus in Dominum“.

Na chwilę przerwała się Msza. Młodzik ksiądz odwrócił się po Ewangelię od ołtarza i wygłosił krótkie kazanie w euskera. Nie rozumiałem nic. Raz tylko myśl wypłynęła na raz na jakieś zrozumiałe dźwięki, jakby z gęstwy oczeretów przebrnąwszy na wolną taflę małego jeziorka. Ksiądz wymienił wyraźnie nazwiska: Bergson i Maritain. Nie wiem, co ksiądz mówił o nich obu, bo kazanie potoczyło się dalej mową bliższą tej, którą mówią w Korei, niż tej, którą mówią w Burgos. Mowa oiców robiła sobie miejsce w tym łacińskim kościele ściosanym z psalmów biblijnych i rytuału poczętego w katekumbach. Było jej przestronnie i swobodnie. Zrastała się z tą „lingua latina“, którą mówili centurionowie legii nadebrzeńskich i legiści królów Nawarry. Na chwilę śnieg prawie przestał padać, i zrobiło się jaśniej. Za-

rysowały się wyraźnie linie pozycji naszych, mniej wyraźnie nieprzyjacielskie, zbyt daleko, aby można było strzelać stąd do nas. Niemniej część żołnierzy musiała odstąpić niżej. Msza płynęła w ciszy, w migotaniu woskowych świeczek. Od ołtarza padały słowa modlitwy łacińskiej. Od okopów padały strzały.

Ksiądz już zrzucił ornat i w mundurze milicjanta baskijskiego modlił się po Mszy. Ludzie jednak

dzię po Mszy i gawędzą. Weszło to w nawyk, i żołnierze, którzy jeszcze kilka miesięcy temu o karabinie i froncie nie mieli pojęcia, nie wyzbyli się nawyku wieków. Wyszedł jeden z milicjantów, do był długi flet baskijski „chistu“, i zaczął nucić długą dziwną melodię, raz zawodzącą, raz skoczną. Żołnierze słuchali. Batalion zrekutował się w Guipuzcoa, okolicach San Sebastian, najrdzenniejszym i najczystszy Euzkadi, fle-



Widok na Bilbao

nie schodzili z miejsca. Stali grupami, do chwili zrozumiałem czemu. Kościoły baskijskie mają muryrowane podświetlenie, ocenione sklepieniem nad kolumnami, gdzie w deszcz lub skwar przystają lu-

cista pochodził z „puebla“, które od wieków słynie ze swej gry na „chistu“. Gdy skończył, zaczęli się rozchodzić nie jak żołnierze, ale właśnie jak chiopi od kościoła po nabożeństwie.

FEDERICO GARCIA-LORCA

Oda do Przenajświętszego Sakramentu

WYSTAWIENIE (I)

Pange lingua gloriosi corporis misterium

Uderzał śpiew kobiecy o wysokie ściany
Kiedym Cię dojrzał — Boże Żywy w Sakramencie,
Nagi i dygocący byłś jako dziecię
Gdy ucieka pościgom rozjuszonej trzody.

I byłś żywy — Boże — zamknięty w monstrancji
Przebity z woli Ojca igłami pożaru.
Cierpiełeś niby serce małego Stworzenia
Przez medyków trzymane na dnie szklanej puszkii.

Skąło osamotnienia gdzie się trawa żali,
Gdzie nieprzejrzysta woda traci trzy akcenty
I wznoszą Ci kolumnę wonności śnieżystą
Nad światem wirującym po kręgach i torach.

Widziałem śliczną postać Twoją kiedy spływa
Olejem na krew rany i płótna agonii
I odwróciłem oczy aby wejść spojrzeniem
W dobrą biel bezsenności od kruków zbawiona.

Takim — Boże Powszedni — pragnę ogarnąć Ciebie,
Z mąki leplony opłatku dla nowonarodzonego,
Wicher wespół z materią związane w znak widomy
Przez ukochanie stworzeń Twego niepomnych imienia.

I takim — zwięzy kształcie niezmiernie chwały
Boże we mgle koronek — nikły a wiekuiasty
Powtórzony tysiącokrót — ginący na krzyżu
Zraniony czarnym słowem zmęczonego człowieka.

Słaniał się śpiew kobiecy w piaskach bez północy
Gdyś zjawił się, obecny w postaci Sakramentu
I ciżba serafinów z glorii i atramentu
Pod bezkształtną kopułą piła smak winnic Twoich.

O Formo przenajświętsza u wierzchołka kwitnień
Skąd wszelkie drogi biorą niewzruszone światło
Gdzie cyfry i gdzie wagi tworzą teraźniejszość
Rdzeniu światła ludzkości ulepiony z chleba.

O kształcie określony prawdziwym wyznaniem
Liczby blasków a także wysłuchanych błagań
O Śniegu obwiedziony tympalami muzyk
O płomieniu drgającym ponad arteriami.

przełożył Mikołaj Bieszczadowski



Podniesienie

uciekł daleko stąd. Jedynym żywym pozostałym w tym porzuconym mieście była teraz mała, hucząca na całe miasto płyta. To przez nią nieistniejące tłumy śpiewały dalej pieśń rewolucji, to przez nią dygotał marsz nieistnie-

mił ich łacińskiej jasności głos organów, nie opcział je chór śpiewów. Odarte z ozdobnego nalotu wieków, stały się teraz surowe i proste. Brzmiały chyba tak, jak rozkazy rzucane niegdys w tej samej mowie do centurii kroczących

To jest prawdziwa historia. Opisane w niej wypadki są autentyczne. Zdziwiają wielkim podobieństwem wobec szeregu innych — niemalże identycznych. Jest to poza tym opowieść nadgraniczna. Komuś, kto by pokusił się na szersze jej opisanie — takie dosyć metaforyczne określenie nasunęłyby na pewno więcej wniosków i więcej przemyśleń.

Miasto, o którym będzie tu mowa, nie zaszła przy pierwszym spotkaniu ani bardziej osobliwym ornamentem architektonicznym, ani panującą w jego murach atmosferą. Prowincja. Ta sama prowincja, o której „zmeżeni rewolucją” opowiadają, że jest „szczęśliwa. (...Oczywiście płoteczki, nuda, oczywiście bambosze i niekluczne kółko znanych, ale przede wszystkim s pokój. Spokój, który zaczyna się poza Warszawą, Wrocławem — bez wielkomiejskich rekwizytów, bez wszystkich gwałtownych wstrząsów...”). A bohaterowie tej opowieści? Nie będą się silić na ich szczegółowy opis. Nie są to w każdym razie jacyś niespotykani ludzie. Nie trzeba ich szukać z przysłówiową świeżką w rękę.

...A więc początkiem stała się nutąca, wielogodzinna podróż z lubelskiej wsi, z „centrali”, dokąd dotarli wieści o lepszym życiu nad granicą. W „centrali” mówi się przecież i mówiło się dawniej, że na Zachodzie są mrowiane zagrody z elektrycznością, z wygodnymi dojazdami, z dobrą ziemią. Tak zwykłe mówią ludzie starzy. Ci najmniej powątpiewający, dla których wieść stała się wypełnieniem całego życia, którzy poza jej granicami dostrzegają zmeżenie i brak najnaturalniejszego porządku. Młodzi wolą miasto: fabryki („przy fabrykach buduje się nowe domy, skwerki”), mniejsze czy większe zakłady przemysłowe, kina i miejsca dobrej rozrywki.

Jest rok 1953. Jakimś jesiennym transportem do Kamiennej Góry przyjechała grupa dziewcząt. W miejscowych fabrykach (przemysł bawelniany) podobne transporty nie należą do rzadkości. Przyjeżdżają tu różni ludzie. Przeszkoleni i nieprzeszkoleni. Wszyscy młodzi — stanowiący „dobry narybek”. Z biur skierowuje się przyjeżdżających do „miejsca zamieszkania”. Problem taki sam, jak gdzie indziej. Do zatrudnienia przypominają wszystkie ponure historie o prowincjonalnych i nie tylko prowincjonalnych „Sodomach i Gomorach”. Z całą galerią glupkowatych stróżów obyczajności rozkładających z ubolewaniem ręce: „Co można zrobić innego? W każdym domu Młodego Robotnika pracuje przecież jeden człowiek odpowiadający za całość nieruchomości i porządek wśród ich lokatorów”.

Przez okno stróżówki przesuwa się ludzie w przypończonych pierwszych śniegim kombinazonach. DRYBLAS uśmiecha się do swoich myśli. Wypuszcza przy tym duże kółka papierosowego dymu szczerze pozołknie od tytoniu zęby.

— Takie, proszę was, niedopieczone gęsi! — opowiada. — Ile ich, mój Boże, przyjeżdża! Myślą, idiotki, że tu Kanada...

Dryblas spotkał dziewczynkę niedługo po przyjeździe. Nic dziwnego. Od roku pracuje jako strażnik. Po prostu pilnuje fabryki. W dzień spaceruje z karabinem w pobliżu muru otaczającego fabryczne zabu-

downia, w nocy zaś przesładuje w stróżówce. A stróżówka jest taka sama jak wszędzie. Jedną rzecz może zastanawiać kogoś, kto po raz pierwszy przechodzi jej próg. Ogromna ilość zbierających się tutaj strażników — to ludzie młodzi. Patrzą teraz w stronę dryblas i uśmiechają się na wspomnienie górniczego zdjęcia, przedstawiającego pionierską grupę po wypłacie. Ostentacyjnie nie to jest jednak najważniejsze! Praca jest może lepsza, ale i równie odpowiedzialna. DRYBLAS wie o tym dobrze.

— Otóż — mówi dalej — kiedy cała ta wiocha zjedzie do naszego miasta, to trzeba im wszystko do łba wbić od a do z. Ze jest gaz, że można na nim ugrzać kawy, że z maszyną trzeba delikatnie, bo ugryzie itp. Co pan chce — mruży teraz powieki — to cholernie trudna praca. No i powiadam wam rozwydrzenie...

Dryblas jest coraz bardziej pewny siebie. Kiedy wspomina o „rozwydrzeniu” robi tak przestraszona miną, że chce się śmiać.

Tymczasem Kasia (prawda, jakie sentymentalne imię?) zwykła koleją następującą po sobie wydarzeń, zostaje przyjęta do „towarzystwa”. Fabryka: maszyny, warsztaty tkackie, instalacje gazowe, przestają być tak atrakcyjne, jak na początku, kiedy dostarczały tysiąca zadziwień. Teraz trzeba mówić o życiu. „Życie” to właśnie kino, spacer, towarzystwo. Koleżdy dryblas to, rzecz jasna, także „towarzystwo”.

„Dziewczyna ma jasne włosy, różową cerę, jest silnie zbudowana i przy tym bardzo jeszcze nieśmiała”. DRYBLAS wspominał mi, że takie z „wiochy” trzeba „urabiać”.

Kiedy któryś z „towarzystwa” mężczyzna ma wolny czas, a dziewczęta opuszczają wówczas fabrykę, no i jeżeli jest przy tym w dobrym humorze — zaczyna się „urabianie”. Najpierw organizowane kąpiel zabawy (nie bez wódeczki) — nieśmiała dziewczyna staje się coraz bardziej śmiała, imponującą jej adoratorzy i pieniądze. Na rezultat nie trzeba długo czekać.

Taki jest więc początek tej opowieści. Dziewczyna z jasnymi włosami odpywa gdzieś poza granicę „normalności”. Niesie na sobie brzemień występku, a drobną radość z narodzonego dziecka (jeżeli nie trafi do „fabryki aniołków”) przynosi ciążę, okrutnie ciężkie troski.

Niektórzy powiadają: wywalczyliśmy wolność kobiety. Nieślubne dziecko przestało być już ciężarem dla matki. Na prowincji powiedzenie takie traci nie było jakim komunałem. Na prowincji kryteria moralności są bardzo różne od tych, które wypracowujemy w swoich gabinetach.

Tak właśnie zaczyna się przeraźliwie gorzka ludzka samotność. Powalające wrażeń kryjący się w mrocznych zakamarkach miasta wołać oczekiwać na nowe transporty. Ale o tym dRYBLAS nikomu z obcych nie powie.

II

W LATACH 1724 — 1746 żył w Kamiennej Górze ksiądz Franciszek Ignacy Kamiński.

Spod przypończonych pudrem peruki z galerii portretów kamiennogórskich proboszczów patrzy dzisiaj spokojna, sympatyczna twarz kapłana. Szary portret, dwie wypisane u dołu daty, koronkowa komża, dobry uśmiech. Zostało właściwie tylko nazwisko.

WŁADYSŁAW LECH TERLECKI

POLSKA LEŻY NA KOŃCU ŚWIATA

Poprzez zapisane na przemian spiczastym gotykiem i łacińca dzieje parafii, dotrzeć można co prawda dalej. W starych aktach (zapisy z XV wieku) odnalazłem nazwę miasta: Camena Gora.

W kurzu starych zbiorów, w jakich pokrączyłem, bo opartych na przypuszczeniach wspomnianych nie zacierają się dzieje księdza Franciszka Ignacego Kamińskiego. Historia umie być uparta.

Przecież jej stary okazały trakt prowadzi nas od początku drogi do zimowego spotkania z miastem, w którym nie gubią się ślady tego, co ukryte, z tym, co jest.

Nad dawną granicą polsko-niemiecką, na pograniczu wielońskiego i opolszczyzny, nietrudno znaleźć osadę, z której majowego poranka 1945 roku wyruszyła procesja do niedalekiego Olesna. Opustoszała kościół zapelniał się wówczas tłumem zaskoczonych widzów niebywałej pielgrzymki mieszkańców wywołanego miasta.

Zabrano nam kościoły, urządzono w nich tajnie, zabrano nam braci, siostry — powędrowali tam, skąd rzadko kto wraca... Tak mówił polski ksiądz na pierwszym polskim kazaniu, którego słuchali ludzie nie pamiętający już ojczystego języka.

A nielato było mówić wtedy kazanie po niemiecku. Nielato było zapomnieć o innej, jak bardzo innej procesji, która w 1939 r. wyruszyła z opolskiego Olesna nad granicę polską.

Tak właśnie skończyła się druga wojna światowa dla kolejnego następcy księdza Franciszka Ignacego Kamińskiego.

— A co było potem?

— „Potem? Potem była wędrówka przez wiele opuszczonych kościołów. Ciężka, pełna wyrzeczeń praca.”

Jak bardzo niesprawiedliwi są ci, którzy na samo brzmienie słowa „ksiądz”, wruszają pobłażliwie ramionami. („Wygoda, spokojne życie, bez codziennych trosk normalnego człowieka, wygoda, i jeszcze raz wygoda...”).

Siedzimy w zimnym, nieopalanym pokoju. Człowiek w czarnej sutannie ma bystre oczy i gęstą postawiającą czuprynę skręconych włosów nad czołem.

— ...Tyle mieliśmy wtedy domów. Każdy dom to był kilkumiesięczny pobyt w miejscu, gdzie instalowało się polskie parafie.

Przypomnijmy sobie — to były czasy kiedy nieufni, albo wręcz wrodo ludzie mówili: „Głupcy! jeżeli jedziecie na Zachód, to bierzcie, bierzcie ile wlezie i uciekajcie z powrotem...”.

Na plebanian mieszkał jeszcze niemiecki duchowny, po drogach włóczyły się uzbrojone bandy, a jedna parafia obejmowała nieraz swoim zasięgiem cały powiat. Ci, którzy zamieszkiwali na stałe tar-

sowali drzwi szafami, na dachach zakładali alarmowe dzwonki. Na wszelki wypadek. Już później wśród niechętnych wyjazdowi po objęcie nowych parafii zaczęły krążyć inne plotki.

Rewolucja tymczasem nie omija żadnych, „w bluszczu schowanych przed światem” kościelnych zabudowań dociera do każdego domu, do każdego człowieka...

— Wygodni — mawiano — mają piękne parafie, domy, które przypominają pałacyki. Luksus...

Człowiek w sutannie nie ma wcale łatwego życia, ale na swój sposób walczy.

— ...Bardzo często przychodzą na plebanię ludzie głodni...

— ?!

— Owszem, głodni. Są to zgłaszający się po raz pierwszy do pracy w naszych fabrykach chłopcy i dziewczęta. Przez kilka dni, kiedy skończą się zabrane w podróż pieniądze, stają się po prostu bezradni. W fabryce mówią: forszę dostaniesz przy wypłacie!

Co zrobić? Nie mogę dłużej żywić dwóch czy trzech ludzi, daje im o-biad, potem siadam przy telefonie i łączę się z fabryką. Jeżeli to jest „Len” — to dobrze. Nowy parafianin wychodzi z zapewnieniem otrzymania zaliczki. Ale są i inni. Wtedy skrzyczą głos w słuchawce wybuch gniewnym „a co to ksiądz obchodzi!... znaleźli sobie kogoś, do kogo można polecieć za skargą!...”.

A przecież muszę każdego takiego człowieka zatrzymać. Żeby nie wracał do domu, skoro tutaj czeka na niego praca.

Na plebanię przychodzi zresztą ludzie szukający nie tylko doraźnej, materialnej pomocy. Są i inni. Pierwszy wątek naszej opowieści nie gubi się po wyjściu zropaczonnej matki z cichej plebanii, przy kościelnej uliczce.

Ale w takich wypadkach trzeba już bardzo wielkiej miłości. Trzeba mówić najcieplejsze rzeczy, trzeba wrócić „polamanej dziewczynie” wiarę w życie, w potrzebę tego życia. Bywają to gorzkie rozmowy. Tym bardziej smutne, że częste. I tak na 540 chrztów w ciągu jednego roku w małym miasteczku było 100 chrztów dzieci nieślubnych!...

Cyfra co najmniej groźna. Ilustrująca najlepiej smutną „typowość” przeżyć dziewczyn o jasnych włosach i różowej cerze... Nie miał takich kłopotów ksiądz jegomość Franciszek Ignacy Kamiński w XVIII wieku.

III

CZŁOWIEK w sutannie powie-

dział po prostu: „Nie ma w Kamiennej Górze ludzi, którzy mogliby pomóc takim, jak jedna i wiele innych dziewczyn z jasnymi włosami. Tu jest Polska leżąca gdzieś na końcu świata...”.

Po treszczących schodach, przez mroczne korytarze budynku miejskiego teatru wchodzi się wreszcie do ciepłego pokoju.

Kilka miesięcy temu do budynku tego przyjechał spod Bystrzycy Kłodzkiej dosyć niespodziewany gość. W każdym razie nie spodziewały się jego młode dziewczęta z Powiatowego Domu Kultury.

Rozejrzał się po pokoju, usiadł naprzeciw biurka i przedstawił się: Henryk Worcell.

Dla młodzieńkiej instruktorki, która również przyjechała bardzo niedawno do Kamiennej Góry po ukończeniu liceum w Bydgoszczy, przyjazd Henryka Worcella był bardzo ważnym wydarzeniem. Dla łaskawej Kierowniczk PDK nie było w tym przyjeździe nic specjalnego. Wiadomo: przyjechał, to niech robi. Ostatecznie podobno pisarz wydał kilka książek — sam może obmarować — lepiej niech siedzi spokojnie.

Henryk Worcell jest istotnie człowiekiem bardzo spokojnym. Nie tak dawno rozmawiałem we Wrocławiu, podczas autorskiego wieczoru tego ciekawego pisarza i człowieka na temat jego bynajmniej nie sielankowych przgód. Zanim Worcell dotarł do Kamiennej Góry, otrzymał dobre odznaczenia za ofiarną służbę rewolucji. We wsi, w której mieszkał, banda kumotów osaczyła pisarza za to, że śmiało poddał ich robotę publicznej krytyce. Skończyło się kilkoma cieciami noża.

Do Kamiennej Góry Worcell przyjechał także — robić rewolucję. Poruszył się odrobinę grono dobrze znanych znajomych (kierowniczka PDK, kierownik Oddziału Kultury i Inni): a no, zobaczmy, co zrobili?

Młoda, sympatyczna instruktorka artystyczna PDK opowiada, że Worcell robił naprawdę dużo. Po nocach zaś w swojej norze pisał. Może was to zdziwi? Miejskie kumoszki postarają się o mieszkanie dla pisarza. W brudnej, wilgotnej norze sporządzono mu piękny apartament. Dostaje, że bezduszna i te-pa biurokracja (a jest tego ładny lańcuszek: dyrekcja PDK, Oddział Kultury PRN, Oddział Kwaterunkowy i inni) postarała się uprzyjemnić życie człowiekowi, który przyjechał do Kamiennej Góry, żeby robić rewolucję.

Henryk Worcell wyjechał z powrotem pod Bystrycę. Ma tam przecięt rodzinę, której nie może zostawić na dawnym miejscu zamieszkania. Od pierwszego grudnia nie pracuje już w PDK.

Może stare miejskie kumy cieszyły się z tego wyjazdu: „pojechał skryba — będzie spokoj”. I jest spokoj. Nawet bardzo błogi spokoj. Nie będą pisać szczegółów o kamiennogórskiej kulturalnej sielance. W rozmowach z kilkoma młodymi pracownikami miejscowych instytucji kulturalnych pojawiał się jeden, zawsze ten sam moment. Mówiliśmy o nudzie. Czyli znowu problem znany od dawna.

Nie wystarczy tylko dźwici się młodym dziewczynom, że woła zakrapiane alkoholem rozrywki od innego życia, którego w Kamiennej Górze prawie w ogóle nie ma! Przykład? Choćby powiatowy osro-

dek kulturalny, jakim powinien być Dom Kultury, odstraszający przybyłych swoją martwością.

Mieliście ci, którzy powiadali, że nie ma w Kamiennej Górze ludzi, którzy mogliby robić kulturalną rewolucję, że jest stagnacja, rozpaczliwy spokój. Ale czy znaczy to jednocześnie, że ludzi takich nie ma w ogóle?

Przypomnijmy sobie kamiennogórskie przgody Henryka Worcella. Nie przypuszczam, żeby na terenie całego powiatu mógł znaleźć się ktoś bardziej powołany do kierowania taką placówką, jak tamtejszy Dom Kultury. Nie przypuszczam też, żeby trzeba było wskazywać na bliższy związek opowieści o dziewczynce z białymi włosami ze sprawą mieszkanką dla pisarza.

A jednak? A jednak zależało komuś na tym, żeby pisarza po prostu spalić. Szkoda, że nie dostrzegł tych ludzi odwiedzający niedawno Kamienną Górę inspektor Wilk z Ministerstwa Kultury i Sztuki w Warszawie. Szkoda, że nie zadał o sobie trudu porozmawiania z nielicznym personelem PDK. Może napisałby wówczas bardziej zgodny z prawdą protokół dla swoich władz.

Wieczorem „na końcu świata” zapalają się migotliwe światła ulicznych latarni. Z okolicznych, pokrywających pierwszym śniegiem zalesionych pagórków — w oddaleniu miasto traci swoje kontury. Wieczór.

IV

KAMIENNA GÓRA leży na trakcie starych, podgórskich legend. Legend dawno już zapomnianych, wypieranych przez opowieści dnia dzisiejszego.

Opowiadaliśmy w cichym domu przy kościelnej ulicy o życiu innych miast — bardzo nawet podobnych do Kamiennej Góry. Było coś z nieprawdopodobnej legendy w tym porównaniu do miast, gdzie tak samo pracują małe przemysłowe zakłady, gdzie tak samo przyjeżdżają młodzi ludzie i pracują nie zawsze do świadczeni działacze kulturalni. W przekroju wszystkich tych spraw wyciągnięte książki metrykalnej statystyki — przerażają. W okolicy Kamiennej Góry zdarzył się taki wypadek. Młoda, dwudziestoletnia matka przyszyła do szyn kolejowych trzyletnie dziecko...

Nie myślcie, że w tym pozornie nie typowym przypadku nie ma problemu. Problem jest! Jeżeli rozwija się w swoim zakresie człowiek w sutannie — to dobrze. Ale społeczna odpowiedzialność za podobny stan rzeczy spada również na innych. Choćby nawet na kierowniczkę Powiatowego Domu Kultury!

Kamienna Góra leży w pobliżu linii kolejowej, która prowadzi do wspaniałych wycieczkowych miejscowości. Można by przystoczyć tutaj szereg ich uroczych zalet, można się odwołać do wspomnień. Ale tym trudniej przychodzi myśleć o zagubionym w ich pobliżu mieście, które „leży gdzieś na końcu świata”.

NOTATKI Z PODRÓŻY DO INDII

burnusach, kobiety w powłóczystych szatach, o głębokim spojrzyniu pominiętych czarnych oczu. Miss Laila (po arabsku noc) odznaczająca się wspaniałą matowo-oliwkową cerą prowadzi nas na świętą kawę i napoje chłodzące. Kupujemy papierosy i wracamy do nakarmionym paliwem Constellation, aby dokonać następnego skoku — do Bombaju.

24 listopada.

Stanisław trafił mnie w ramię: „Człowieku nie śpij, zobacz co się dzieje!” Pochyliłem się ku oknu i oniemiałem. Wisimy wydaje się bez ruchu w potokach słonecznych promieni. Niebo bez żadnej chmurki „jak zamazana woda”, a w dole powoli przesuwa się Wybrzeże Rozbójników. Ta część półwyspu Arabskiego nacechowana jest grozą i okrucieństwem. Spiętrzone gołe skały o najfantastyczniejszych kształtach lśnią w słońcu złotem i fioletem, schodząc tarasami ku spokojnej w tej chwili zatoce Perskiej. Tylko przy brzegu błyskawia tęcza grzywy rozbijających się o głązy fal.

Przylatujemy nad Iran, którego wybrzeże jest równie dzikie i skałiste, po czym rozlewa się pod nami błękit Morza Arabskiego, towarzyszący nam do samego Bombaju.

Obliczamy odległości. Trasa z Warszawy do Bombaju wynosi przez Zürich 9.000 km. Przerzniętą tę przebieżemy w ciągu 18 godzin efektywnego lotu, posuwamy się zatem z przeciętną szybkością 500 km na godzinę. Przylatujemy się sobie z szacunkiem i z rozróżnieniem, a bez zarozumiałości wspomniany jednego z naszych poprzędników — kolegę Marco Polo, który na podobną podróż musiał poświęcić 2 lata.

Piękna stewardessa o oczach krowy ciągle nas pokrzepia albo jedzeniem, albo owocami, albo trunkami, tak że lunch zostawiam niemal nieknięty. Należy wyjaśnić, że porównanie oczu kobiety i krowy jest niewątpliwym komplementem w kraju, gdzie mile te stworzenia wydają w swym rodzie świętych, oraz

(Dokończenie ze str. 1)

przypomnieć, że nie tylko Hagmajer, ale i Homer miał podobne skrajności: „...do Zeusa wykrzyknęła znow krowioka Hera bogini!”.

Ale ad rem. Stewardessa na wiadomość o tym, że nie mamy wiz, zalamuje ręce i kręcąc głową prze-powiada nam powrót następnym samolotem do Europy. Upewniamy się, czy pozwolą nam wysiąść na ziemię indyjską, gdyż na wypadek spełnienia jej prorocтва chcemy mieć prawo mówienia o tym, że byliśmy w Indiach. Twierdząca odpowiedź wybitnie nas uspokaja, po czym budzą się w nas nastroje bohaterki i postanawiamy walczyć do upadłego o uzyskanie pozwolenia na pobyt.

Zapalają się światła, zakazujące palenia papierosów i przypominające o konieczności zapiecia pasów. W środkowych częściach skrzydeł Constellation wysuwają się dziwnie długie płyty hamulcowe. Maszyna zadziera ogon do góry i prujemy ze światem w kierunku rudej ziemi indyjskiej. Hamulce zakrzywiają się jak szpony sępa i wreszcie uwierzyłem, że powietrze to jest tylko materia, tak natychmiastowe jest zwolnienie szybkości samolotu. Zajujemy gumę, aby zmniejszyć przykre uczucie gwałtownej zmiany ciśnienia i po mistrzowsko wykonanym wirażu równie mistrzowsko siadamy na lotnisku bez najmniejszego wstrząsu. Maszyna przyhamowuje stopniowo na betonowym wybiegu, po czym dostojnie roluje w kierunku portu lotniczego. Przejmują działają wentylacja. Błogosławie genialny pomysł pozbycia się swetrow i założenia tropikalnego ubrania. Wsiada kontrola sanitarna. Rozpłyja DDT, mamy dziesięć minut siedzieć spokojnie, gdyż na tym polega kwantantana. Żar i duchota stają się nie do zniesienia. „Zginę ja i pęchły moje”. Na szczęście otwierają się nareszcie drzwi i można wysiąść.

Na lotnisku oczekuje nas przedstawiciel Air India, mr Mochado, który już otrzymał depeszę z Zuri-

chu z zawiadomieniem, że nie mamy wiz. Poddajemy się zabiegom paszportowym. Zasiadamy w czterech na wygodnych fotelach naprzeciwko bardzo godnych urzędników. Wielkie propellery kręcą się jak oszale, ale my pocimy się jak rude myszy i z gorąca i ze strachu. Wolno, spokojnie odbywa się rozmowa: kim jesteśmy, po co przyjechalibyśmy do Indii etc. Mr. Mochado biega do różnych urzędników, tele-



Rys. Krystyna Maślanka

fonuje, pomaga nam w dyskusji, wreszcie wraca z trzymającą miną. Jedziemy do miasta.

Spoglądamy na zegarki, jest godzina 10, a na zegarach portowych 14.30. Przypomina nam się, że jesteśmy rzeczywistości w Dalekim Wschodzie i zmieniamy czas. Szczypta Stanisława. „Co robisz?”. „Chcę, abys uwierzył, że istotnie jesteśmy w Indiach”.

Jedziemy z lotniska Santa Cruz do City. Ziemia indyjska jest naprawdę ruda. Takie jest zabarwienie gleby, taki kolor spalonej słońcem trawy. Wydaje mi się, że śnię. Nad palmami krążą sępy, w nad-

morskim błocie dumnie stoją marabut, gdzieś chylkiem przemymka się szakał. Przejeżdżamy łudnie, bogate miasto. Barwny tłum lśni bielą męskich strojów i migocze fantastycznym bogactwem barw kobiecych sari. Ulice toną w transparentach, mnóstwo bram tryumfalnych — dziś ma przyjechać do Bombaju Bulganin i Chruszczow. Wjeżdżamy w luksusową, nadmorską dzielnicę i stajemy przed wyglądającym jak świątynia hotelem Taj Mahal. Biorę kąpiel i wspólnie z mr Mochado i prof. Niemczykiem jedziemy do rządu stanu Bombaj, aby ulegalizować nasz pobyt. Przyjmuje nas podsekretarz stanu, bardzo do- stojnie wyglądający starszy pan, i po długiej rozmowie robi nam nadzieję na otrzymanie „permitu”.

Podchodzimy do okna. Na bulwar wyległy tysiączne tłumy. Rozlega się głos samochodowej syreny i wśród ogłuszających wiatów przejeżdża Bulganin i Chruszczow w towarzystwie premiera rządu stanowego. Tłum szaleje z radości, syją się kwiaty. Obaj goście radzieccy ozdobieni są obyczajnym hinduskim wieńcami kwiatów i zgodnie z miejscowym zwyczajem złożonymi rękami pozdrawiają wiwatujące tłumy.

Wsiadamy do samochodu, nie możemy jednak przedostać się przez ciżbę ludzką. Na szczęście ciekawscy zaglądamy do wozu, rozpoznajemy w profesorze Niemczyku ministra Motłowa i wśród okrzyków „Molotow zindabad!” tłum się rozstępuje i bez trudu dojeżdżamy do hotelu.

Schodzimy do wyłożonej marmurami sali restauracyjnej. Wytwornymi, ubranymi w biały smoking szef sali, kłania mi się tak nisko, że oglądam się za siebie, czy rzeczywiście uklon jest skierowany pod moim adresem, po czym dobija mnie ostatecznie wypowiedzianym aksamiennym głosem „Good evening Sir”. Sir — to niby ja. Zadzroszczę profesorowi Niemczykowi, że ma wąsy, które w takim momencie znakomicie nadają się do podkreślenia.

Jestem zdumiony zachowaniem kelnerów, którzy natychmiast pod-

chodzą do stołów, przyjmują zamówienia i nie wskazują na „kolegę”. Właściwie to nie są kelnerzy. Nie wiem, jak ich nazwać, gdyż określenie „służba” brzmi niedemokratycznie. Chodzą w turbanach, ozdobionych kitami, w białych ubraniach, przewiązanych szerokimi różnokolorowymi pasami, których barwa oznacza stopień hierarchiczny.

Po obiedzie wychodzimy na miasto. Szybko zapada zmrok. Nadmorskie bulwary zaludniają się tłumami spacerowiczów. Pod wielką bramą tryumfalną, zbudowaną na pamięć pobytu w Bombaju króla Jerzego V, układają się wprost na marmurowych płytach nędzarze, spędzający noc na ulicy. Dziesiątki tysięcy mieszkańców Bombaju nie ma dachu nad głową. Ten przykry widok towarzyszy nam w spacerach przemierzonych w czasie występeru ulic Bombaju.

Zawieramy pierwsze znajomości z hinduskimi kupcami. Nieostrożnie weszliśmy do sklepu pod szumną nazwą Grand Bazar. Oczy nam wylażą na widok cudownych wyrobów ludowych z kości słoniowej, srebra, drzewa. Niebywała precyzja wykonania, niezwykłe jest piękno rysunku, czy rzeźby. Okazuje się, że wejść do sklepu jest łatwo, ale wyjść bez kupienia czegośkolwiek, bardzo trudno. Z punktu podają nam napoje chłodzące i lada pokrywają się z błyskawiczną szybkością każdym towarem, na którym choćby przez chwilę spočinie nasz wzrok. Ekspedienty są tak mili i uprzejmi, że niesposób im się oprzeć i każdy z nas zakupuje jakiś drobiazg, gdyż po prostu wstyd jest czegoś nie kupić. Zgodnie stwierdzamy, że przedstawiciele naszego handlu powinni przejechać się do Indii, aby zobaczyć, jak powinno się traktować klienta.

Zmęczeni, ziani potem wracamy do hotelu. Puszczamy w ruch wentylatory, otwieramy okna. Niebo usiane gwiazdami. Od morza idzie lekki powiew, chłodzący rozpalone czoła. Z oddali płynie głos monotonnej, idącej półtonami w górę pieśni, czy modlitwy?

Jerzy Hagmajer

*) Zachowaj spokój — ...zachowaj energię.

J. KUCZYŃSKI NA CENZUROWANYM

Do Redaktora Naczelnego „Dziś i Jutro”

JEDNA z głównych, a można by zaryzykować twierdzenie, że najważniejsza cecha, która — zdaniem J. Kuczyńskiego — światopogląd materialistyczny przewyższa religię katolicką, jest pewna wyższość moralna czynów niewierzącego, mających na celu dobro człowieka. Materialista bowiem służąc człowiekowi — czyni to dla niego samego, zaś miłość bliźniego u katolika jest tylko pretekstem, doraźnym interesem handlowym, niejaką łapówką, za pomocą której chce się on przesznuć do większej szczęśliwości.

Poza tym jest warunkiem koniecznym, ponieważ każdej chwili zrekomensować ją może (jak formułuje J. Kuczyński) — „chwila biagalnej modlitwy”.

Nie dziwnego, że po takim założeniu, zjawisko ludzi czynnie walczących o sprawiedliwość społeczną czy podejmujących trud najtrudniejszych form działania na rzecz człowieka jest dla p. Kuczyńskiego zjawiskiem co najmniej niezrozumiałym. Widzi on bowiem w ich postawie pewną niekonsekwencję.

Po co bowiem wybierać drogę trudniejszą, podczas gdy to samo osiągnąć można za łatwą cenę kilku poboznych westchnień. Tylko głupiec przecież będzie rowem, jeśli obok ma autostradę. Dlatego prostym i logicznym wnioskiem p. Kuczyńskiego jest to, że katolicy czynnie walczący o słuszną sprawę człowieka działają po mimo szkodliwego wpływu, jaki wywiera na nich religia egoizmu.

Czyż jednak katolik może oddziaływać w swoim życiu modlitwą od uczynków, kontemplacją od czynnego działania?

Według p. Kuczyńskiego jest to żelazną konsekwencją doktryny katolickiej. Dla nas, jest to zjawisko znane pod nazwą krótką i wziętą — *devocja*.

Nie przeczę, że ludzi takich nie brak wśród katolików. Jednak chyba nie z nimi chce dyskutować Kuczyński.

Jeżeli p. Kuczyński pragnie wykażać niesłusność postulatów konsekwencji wiary, musiałby obalić to, co jest w niej najistotniejsze, a co za tym idzie — musiałby obalić to, co jest źródłem postawy zajmowanej przez katolika, który jej sens pojął zgodnie z prawdziwym duchem swej religii.

Wyrzucilibyśmy niedźwiedzia przystępując swoim przekonaniom religijnym, gdybyśmy naszymu dyskutantowi podsuwali do obalenia co innego niż to, co uważamy w nich za istotne i prawdziwe.

Wróćmy jednak do rzeczy, czy sama tylko modlitwa wystarczy do zbawienia i zbędne są wszelkie inne wysiłki?

Czy dążenie do zjednoczenia człowieka z Bogiem, które jest rzeczywistością, i tu nie będą przecież Kuczyńskiemu — ostatecznym celem katolika, dokonywać się może bez doskonałego wpływu na otaczającą rzeczywistość?

Religia nasza uczy, że droga do tego wędzie poprzez czynną miłość, Boga i bliźniego. Miłość Boga zaś objawia się w miłości bliźniego. Życie kontemplacyjne powinno pobudzać do życia czynnego. Tych dwóch rzeczy w życiu religijnym niesposób rozdzielić stanowią one bowiem jedność.

„Poczytam cię za duszę prawdziwie kontemplacyjną, jeśli przede wszystkim czynny twoje okażą się doskonałe” — pisał Orygenes.

Jedną kraciówką fałszywego pojmowania tej jedności scharakteryzował błogosławiony Jan Knysbroeck: „Kto tylko sam dla siebie oddawać się pragnie życiu kontemplacji nie troszcząc się wcale o bliźnich, ten nie posiada ani życia wewnętrznego, ani kontemplacji, lecz we wszystkim postępowaniu swym zawsze się ludzi”. Drugą sformułował już św. Paweł, gdy mówił: „Gdybym na żywienie ubogich rozdał wszystką majątność swoją, a ciało moje wydał na spalenie, a miłości bym nie miał, nic mi nie pomoże”. Dlatego słusznie zaznacza Witold Ostrowski w artykule — „Maria, Marta i Chrystus”, że „prymat życia kontemplacyjnego w życiu wewnętrznym polega na tym, że stanowi ono jedyny sposób wniesienia Boga do naszej świadomości. Jeśli chodzi o realizację Jego woli, na pierwszy plan wysuwa się życie czynne”.

Święty Jakub pisze w liście apostołskim: „Coż pomoże, bracia moi, jeśli by ktoś mówił, że ma wiarę, ale uczynków by nie miał? Czyż wiara mogłaby go zbawić?” Chrystus zaś oznajmił św. Katarzynę, że S'eny: „Jam jest Ten, co lubi mało słów, a dużo uczynków”. Ja, który jestem nieskończonym, żądam czynów nieskończonych, to jest nieskończonej miłości”.

Zbliżając się do doskonałości zdaniem św. Jana od Krzyża, św. Bernarda i św. Tomasza objawia się w coraz większej żądzy czynu.

„Potem już dusza wiele cierpi bez zmęczenia” — mówi św. Jan od Krzyża, a „wielkie trudy i cierpienia niczym są dla miłości” (św. Augustyn). Ten ogromny ładunek miłości i czynu nie kieruje się przeciw w próżnię.

Dla udowodnienia tej prawdy, że religia katolicka nie jest ucieczką od rzeczywistości w sferę własnych egoistycznych spraw między człowiekiem a jego marzeniami o nieśmiertelności można by przytoczyć jeszcze wiele przykładów. Rzecz w tym, że dla p. Kuczyńskiego wszystkie one będą nietypowe. Jego zaoianiem nie odzwierciedlają one istoty religii katolickiej, którą według niego należy rozpatrywać całościowo.

Prosiłbym, żeby p. Kuczyński w trakcie dyskusji zechciał nam wytłumaczyć bliżej, co przez to sformułowanie rozumie.

Przykłady już przytoczone i podobne im, które można by jeszcze przytoczyć, mają także drugi powód, który odbiera im w oczach p. Kuczyńskiego siłę przekonywającą.

Stanowi go argument, jaki przytoczyłem na samym początku — o wyższej wartości moralnej czynu marksisty, który czyni dobrze człowiekowi dla niego samego, nie zaś dla Boga, czy Wielkiej Nagrody. Odrzućmy niską postawę stosunku handlowego, którą w odniesieniu do pewnej grupy katolików wyklucza nawet sam Kuczyński.

Czyż miłość Boga wyklucza proste i ludzkie ukochanie człowieka? I to w dodatku do tego stopnia, by aż upoważniało to do stwierdzenia, że ci katolicy, którzy rzeczywiście służą sprawie bliźniego, robią to tylko dzięki istnieniu w ich świadomości — czysto ludzkich odruchów?

Trudno odmówić marksizmowi — humanizmu. Niemożliwością jest zarzut ten postawić doktrynie, której ostatecznym celem jest szczęście wszystkich ludzi, która w obronie człowieka krzywdzonego i niesprawiedliwie upośledzonego położyła zasługi mierzące się skalą historii. Czyż jednak w tej miłości człowieka dla niego samego nie napotkał p. Kuczyński na pewne trudności?

Czyż miłość do człowieka jako takiego obejmuje też także wroga, którego się nienawidzi i unicestwia właśnie w imię szczęścia człowieka i dla ogólnoludzkiego dobra?

Czyż potrzebuje on zmuszać się do miłości człowieka, do którego czuje uzasadnione urazy czy pretensje? Czyż nie zachodzi tu mimo wszystko pewien relatywizm prawdy, którą Kuczyński podnosi tak wysoko?

Lecz to tylko na marginesie. Idzie o to, że np. słowa Chrystusa nawołującego do czynnej i bardzo konkretnej miłości bliźniego — „cokolwiek uczyniłeś jednemu z tych maluczkich — mnieście uczynili”, Kuczyński uważał będzie za jaskrawy dowód ahumanistycznej istoty katolicyzmu. Tylko, że jak przypomina teolog katolicki Tanqueray — „nie ma dwóch cnót miłości, jednej względem Boga, a drugiej względem bliźniego”. Więc...

Tę samą prawdę wyraził pisarz katolicki Van der Meerch w jednej ze swych powieści, kończąc ją słowami:

„Miłości są tylko dwie. Ukochanie siebie lub ukochanie innych żyjących istot. Poza ukochaniem siebie kryje się jedynie ból i zło. A poza ukochaniem innych jest dobro, jest Bóg”.

Każdy człowiek zasługujący na miłość. Katolik ma obowiązek „nienawidzić błędy, lecz mieć serce dla błądzących”.

Kto by czyniąc dobrze człowiekowi traktował go jedynie jako jeszcze jeden ze szczebli, po których pięć się można do doskonałości, ten nie ma w sobie prawdziwej chrześcijańskiej miłości dla Boga, czyli nie ma chrześcijańskiej miłości w ogóle.

Nie ma jej także ten, którego obojętną by była krzywda człowieka, w najdalszym choćby zakątku świata. Katolik, który w jakikolwiek możliwy dla siebie sposób nie starałby się zaradzić istniejącemu złu, daje dowód niezrozumienia podstawowych konsekwencji wiary katolickiej.

Dlatego ludzie gardzący doczesnością przez troskę o wieczność są w Kościele katolickim — zjawiskiem niezrozumiałym i nie może nikogo zdziwić stwierdzenie teologa belgijskiego ks. prof. Thilisa, że „prawdziwie chrześcijańska koncepcja życia i człowieka wymaga wysiłku przekształcania Stworzenia, wysiłku, którego bynajmniej nie utrudnia życie Boże, ale przeciwnie — pobudza, stawiając postulat działalności doczesnej”. I to działalności skutecznej.

Już bowiem św. Augustyn w zamierzonej epoce niewolnictwa twierdził, iż dobrze jest dawać jałmużnę, ale lepiej jest robić tak, żeby nie było biednych.

Wynika stąd, że ludzie czynnie i możliwie w jak najszerszym zakresie realizujący idee sprawiedliwości społecznej nie są w Kościele jakimś tragicznym nieporozumieniem, nie działają obok i pomimo swego światopoglądu, ale w oparciu o właściwe rozumienie konsekwencji, jakie płyną z katolickiej doktryny.

Augustyn Przywieczerski Toruń

W związku z artykułem Janusza Kuczyńskiego pt. „Drogi zbawienia i drogi życia”, zamieszczonym w 36 numerze „Po prostu”, redakcja „Dziś i Jutro” otrzymała szereg listów od czytelników, których część postanowiliśmy opublikować. RED.

Do Redakcji „Dziś i Jutro”

ARTYKUŁ Janusza Kuczyńskiego w nr 36 „Po prostu” pt. „Drogi zbawienia i drogi życia” zawiera, niestety, wiele nieporozumień. Celowo używam słowa „nieporozumień”, wierząc, że błędy Kuczyńskiego płyną raczej z nieświadomości, aniżeli z chęcią zafalszowania prawdy.

Zacznijmy więc od początku, od sprawy najbardziej zasadniczej — sprawy miłości bliźniego.

Kuczyński uważa ją za drugorzędny i niesamodzielną element doktryny. Z emfazą powiada: „Nikt przecież nie zaprzeczy, że w centrum światopoglądu katolickiego znajduje się Bóg, a nie nakaz społecznej miłości bliźniego”.

Zarzut ten prawdziwy jest tylko pozorne. Oczywiście nikt nie zaprzeczy, że miłość Boga jest pierwszym i ostatecznym celem człowieka, zasadniczym nakazem religii. Ale — i tu leży sedno nieporozumienia — trzeba rozumieć, czym jest ta miłość Boga, na czym ona właściwie polega. Otóż — nie ma i być nie może miłości Boga bez miłości człowieka. Nie można tych dwóch rzeczy rozłączać, są one ze sobą organicznie związane. O związku tym zaświadczył przecież sam Chrystus, gdy na pytanie młodego faryzeusza, jakie jest największe przykazanie Boga, odpowiedział: „Będziesz miłował Pana Boga swego ze wszystkie serca twego, ze wszystkiej duszy twojej i ze wszystkiej myśli twojej. A wtóre podobne jest temu: Będziesz miłował bliźniego twojego jak siebie samego. Na tych dwóch przykazaniach całe Prawo zawisło i prorocy”.

Św. Jan Ewangelista w I Liście Apostołów pisze: „Jeśliby kto powiedział, że miłuje Boga, a nienawidzi brata swego, kłamca jest. Kto bowiem nie miłuje brata swego, którego widzi, Boga, którego nie widzi, jakże miłować może...” W innym zaś miejscu Pisma św. (List św. Jakuba) czytamy: „Wiara bez uczynków martwa jest...”

Jak w świetle tych cytatów (a przecież chyba właśnie do Ewangelii powinniśmy się odwoływać) —

Do Zespołu Redakcyjnego „Dziś i Jutro”

MUSZĘ się przyznać, że artykuły J. Kuczyńskiego przyjmowałem z dużym zainteresowaniem. Ile tam namiętności, ile prawdziwej pasji, ile w nich wreszcie żywego człowieka. W dodatku obaj należymy jeszcze do młodego pokolenia. Obaj niezależnie od różnic światopoglądowych spotykamy się na pozycjach wewnątrzno-socjalistycznym.

Nie mogę przemilczeć poczynionych przez niego trafnych obserwacji, kiedy pisze o negatywnych odstępstwach od katolicyzmu „ludzi tylko odświętnie religijnych”. Ale dlaczego uczucie określając postawą ludzi odświętnie religijnych jako negatywne odstępstwo od wiary, uśmiewa się O. M. Kolbe uczynić pozytywnego odstępce od katolicyzmu. Na jakich argumentach oparty jest wniosek, że katolicy realizujący nakaz miłości bliźniego odstępają przynajmniej treścią swoich czynów od wiary?

Czy nie młodzieńcza zapalczywość sprawia, że Kuczyński wyciąga wnioski przekraczające zasięg przesłanek? Konfrontując bohaterki czyn O. M. Kolbe z piękną postawą młodego komunisty z Maquis — który na kilka godzin przed rozstrzelaniem napisał: — „jestem tylko kroplą krwi, która użyżni ziemi francuską” — zupełnie słusznie akcentując Kuczyński ich wspólną humanistyczną treść. Ale znajdując żelazną konsekwencję w ateizmie członka Ruchu Oporu, nie widzi żadnego związku pomiędzy O. M. Kolbe jako człowiekiem wierzącym a M. Kolbe wieźniem Dachau, oddającym własne życie dla uratowania nieznanego sobie bliźniego człowieka. Sądzi nawet, że ten uśmiewający czyn O. M. Kolbe przekreśla jakby za jednym zamachem całe jego dotychczasowe życie — życie wiary w Boga. Wniosek, jakie wyprowadza, można by uogólnić w stwierdzeniu, iż w O. Kolbe zwyciężył człowiek, że czym jego jest jeszcze jednym triumfem człowieka nad Bogiem. Przyznam się szczerze, że takie wywoły bardzo przypominają mi karkołomną gimnastykę łośnokoczka. Z czego innego jak nie „z odruchów”

współczucia i „odruchów” serca składała się cała ziemská działalność O. M. Kolbe? Czyż nie na dobrym postępieniu

niemy się przede wszystkim odwołać, jeśli podejmujemy „doktrynalną” krytykę religii, wygląda twierdzenie Kuczyńskiego o tym, że „godzina czynności (?) religijnych zastąpi każdy wysiłek społecznej rehabilitacji”?

A teraz sprawa następna — sprawa miejsca człowieka w systemie chrześcijańskich wartości.

Według Kuczyńskiego człowiek nie zajmuje w systemie tym pozycji autonomicznej, co świadczyć ma o tym, że Kościół wypowiada się „przeciwko immanentnej wartości człowieka, przeciw jego samodzielnej i własnej godności...”

Zdanie to składa się z dwóch członów, z których jednak pierwszy tylko jest prawdziwy. Niewątpliwie — człowiek w rozumieniu chrześcijańskim nie jest istotą autonomiczną. To prawda.

Zbyt dobrym znawcą natury ludzkiej jest Kościół, aby nie rozumieć, czym grozi polowanie jej jako autonomicznej i niezależnej, jak blisko od takiego jej pojmowania do całkowitego subiektywizmu i relatywizmu wraz z odrzuceniem wszelkich krępujących więzów i ograniczeń.

Jeśli natura ludzka jest autonomiczna, to kłóma prawo ustalić obowiązującą ją normę? Czy człowiek sam? Jakaż wtedy mamy gwarancję ich słuszności? Węć może drugi człowiek? — Ale kłóma nam wtedy zaręczyć za ich obiektywność, kto wskaże kryteria, którymi trzeba się kierować? Czy takie rozwiązanie nie stwarza pola dla ogromnej ich dowolności?

Och, naturalnie, można przecież powiedzieć, że natura ludzka winna być i jest ograniczona przez społeczeństwo. Ale wtedy konsekwentnie przyjąć musimy relatywizm również i tych norm moralnych. Każde społeczeństwo w zależności od swej struktury, od swego poziomu cywilizacyjnego, od uwarunkowań historycznych, a co za tym idzie, od tysięcy czynników czego innego wymagać będzie od swych członków.

Czy w świetle powyższego potencjalna wielość, nieunikniona względność wszelkiej moralności autonomicznej — nie jest naturalną konsekwencją?

Tak więc wracając do wywodów Ku-

czyńskiego, że to jest też w katolicyzmie.

Kuczyński uwawia katolikom immanentną reakcyjność, która rzekomo jest konsekwencją wyznawanej wiary. Równocześnie, gwoli swoiście pojmowanej rycerskości, wspomina, i to nawet dość obszernie, o politycznych czynach ludzi wierzących, tylko że tutaj w myśl zasady „tym gorzej dla faktów” wikała ich w wymyśloną kolizję z wiarą, jakoby dlatego, że ocena moralna ich postępowania jest bezsporna. A to by nie trzymało się kupy z poprzednimi wywodami. No i teraz już nikt mu nie może zarzucić nieuwzględnienia pozytywnych bohaterów. Dopiero uciecha, gdy i oni mogą świadczyć na moją korzyść. Uciecha na pewno, ale dla kogo? O. M. Kolbe wyzwala się z „uroku wiary” pod wpływem „odruchów współczucia i odruchów serca, które czuje cierpienie człowieka”. Ale czy do tego musiał się wyzwalać z wiary? Dla większej klarowności tamtego artykułu może i tak, ale poza tym?

Wreszcie sprawa postępu, do afirmacji którego inspiruje chociażby katolików nakaz o czynieniu ziemi sobie poddaną.

Prawdą jest, że wzrost możliwości człowieka powoduje obawę przed zagubieniem przez niego celu ostatecznego, jakim jest Bóg — że stwarza niebezpieczeństwo złego użycia swych sił, ale i zobowiązującą do postępowania się zretelną argumentacją, do uwzględnienia wszystkich przesłanek przedstawianego problemu, a nie dowolnego ich doboru. Pozostawiam domyślności czytelnika ustalenie właściwej terminologii dla określenia wypracowanej na użytek dyskusji argumentacji, opierającej się przede wszystkim na dowolnym rozłożeniu akcentów. I tak np. dostrzegając w religii nakaz doskonalenia wewnętrznego we wszystkich wynikających z niego konsekwencjach wygodn e zapomniać o nakazie czynienia sobie ziemi poddaną. Może krótka pamięć. Na wszelki wypadek przypominam: „wiara bez uczynków martwa jest” — „jeśliby ktoś mówił, że Boga miłuje, a brata swego w nienawiści ma, kłamcą jest”. Zapewniam Ku-

czyńskiego, musimy przyznać mu rację w pierwszej części jego twierdzenia. Człowiek jest zależny od Boga swego Stwórcy. Jest jego umiłowany dzieckiem. Został stworzony do udziału w Jego chwale i w Jego szczęściu.

Naturalnie, że człowiek winien posłuszeństwo i pokorę Kodeksowi moralnemu Praw Bożych, zawartych w Dekalogu, tak jak dzieci winne są posłuszeństwo swym rodzicom i opiekunom.

Ale — i tu już z Kuczyńskim zgodzić się nie możemy — czy takie posłuszeństwo hańbi, czy odbiera ono człowiekowi jego samodzielność i godność? — Chyba nie. Bóg nie gwałci przecież niczyjej woli, wybór należy do człowieka. Człowiek sam może i musi nawet powiedzieć się albo za, albo przeciw Bogu. Jeżeli wybierze Boga, to wybór ten jest całkowicie świadomy i dobrowolny.

Człowiek sam w własnej woli decyduje się na takie podporządkowanie, ograniczenie swojej woli na rzecz Woli Stwórcy. I w tym fakcie leży godność ludzka, w tym, że człowiek ogranicza się sam. Zaden człowiek nie może być zbawiony bez swej woli — to jest dogmat. Bóg nie człowiekowi nie zarzuca. Bóg czeka na jego wybór.

A wybór, wbrew temu, co mówi Kuczyński, nie jest łatwy. Katolicyzm nie jest łatwym zaspokajaniem marzeń o nieśmiertelności. Katolicyzm jest religią trudną, wymaga on od człowieka ustawicznej wyczerzeń i ofiar, jest on religią celowego znoszenia cierpienia. Nie darmo symbolem jego jest krzyż dobroci przylejły.

I tu dochodzimy do drugiej sprawy bardzo istotnej. Często wysuwa się pod adresem religii zarzut egoistyczności motywów, do których się ona jakoby odwołuje. Zarzut ten podnosi również w swym artykule Kuczyński. Zastanówmy się nad nim przede wszystkim. O co chodzi właściwie? — Religia obiecuje człowiekowi szczęście wieczne. To prawda. — Ale cóż z tego? Motyw dążenia do szczęścia jest motywem starym jak świat, jest on nierozłącznie związany z naturą ludzką od początków jej istnienia. Motyw ten był i jest w ostatecznej Instancji móleorem każdego niemal ludzkiego działania, na nim zbudowane były wszystkie powstające na przestrzeni dziejów systemy etyczne.

Od Sokratesa po dzień dzisiejszy ludzie głosili się nad tym, jak zdobyć szczęście. Dążenie to jest tak podstawowe i zasadnicze dla człowieka, że nie podobna wprost wyobrazić sobie jakiegokolwiek systemu etycznego, który by się do niego nie odwoływał. Każdy taki system trzeba by uznać za utopię nie liczącą się z prawami psychiki ludzkiej. Nie dziw więc, że wszelkie znane w dziejach rewolucje wybuchywały i rozwijały się właśnie pod tym hasłem. A czy socjalizm

współczesny tego hasła nie wypisał na swych sztandarach? Czyż Front Walki o Pokój świata nie pod tym hasłem wyruszył na podbój ludzkości?

O cóż więc chodzi? — Rzecz jasna, że nie o to, aby wyrwać z duszy ludzkiej dążenie do szczęścia, bo to jest wręcz niewykonalne, ale o to tylko chodzi, aby wskazać na właściwe środki jego realizacji.

Wiemy poza tym, że każde działanie jest reakcją psychofizyczną nie tylko uwarunkowaną przez takie czy inne bodźce psychologiczne, ale wpływającą również z kolei na wytworzenie się w nas pewnych stałych dyspozycji psychicznych.

Czyniąc dobrze, stajemy się lepsi. Powstałe w nas z czasem nawyk dobroci. Nadzieja na przyszłe szczęście wieczne nie koliduje z dotychczasową radością „czynienia dobrze”, którego kryterium znajdujemy w uwarunkowaniu przez wiarę i praktykę chrześcijańską sumienia.

„Egoistyczne” dążenie wierzącego zdolne jest zatem sprawić skutki dobroczynne zarówno dla „otoczenia, jak i dla samego podmiotu. Takiemu „egoizmowi” można chyba tylko przyklasnąć.

Pozostaje jeszcze ostatnia sprawa poruszona przez Kuczyńskiego — sprawa „katolickości na codzień i od święta”. Nie ulega wątpliwości, że rację ma Kuczyński, twierdząc, iż ogromna większość katolików — to raczej „katolicy od święta”, katolicy z metryki, dla których religia nie jest czynnikiem kształtującym ich życie wewnętrzne i zewnętrzne.

Nie ma natomiast racji twierdząc, że fakt ten wypływa z samych założeń religii. Twierdzenie takie jest oczywiście fałszem, zaś argumenty Kuczyńskiego są po prostu nieprawdne.

Szczególnie wskazywał przykład z Gólbiewem. Co właściwie autor rozumie przez pojęcie „nerwu religijnego”? Fragmentaryczne wyjaśnienie, w którym mówi on o braku „wstawek” religijnych u Gólbiewa, i nominacja Bernanosa na wyłącznego (?) reprezentanta powieści katolickiej wskazują, że jego rozumienie literatury katolickiej nabył jest wąskie i uproszczone, aby podobać się nim dyskusję.

Moim zdaniem, powieść Gólbiewa jest właśnie przykładem integralnego katolicyzmu jej autora, nie zaś katolicyzmu narzwanego powierzchownie jakby „od święta”. Realizm Gólbiewa, jedyny, szczerzy, afirmatywny w stosunku do życia, jest też najlepszym dowodem, jak bardzo, jak głęboko ludzkim światopoglądem jest katolicyzm, jak różnorodny i szeroki zakres zjawisk obejmuje on swym zasięgiem.

Zofia Zawadzka Warszawa

tem zawężenia, eliminowania czy ograniczania aktywności społecznej katolików, nie jest procesem odwrotnie proporcjonalnym do rozwoju wiary. Wprost przeciwnie pozwala ludziom wierzącym na bardziej pogłębioną, bo wzbogaconą o często zapoznanie w religii wartości, miłość człowieka, a poprzez niego i samego Stwórcę.

Nie ma bowiem i nie może być żadnej wewnętrznej sprzeczności pomiędzy przyjęciem wszystkich konsekwencji z wyznawanej wiary a postawą postępową ludzi wierzących w dobre dzisiejsze.

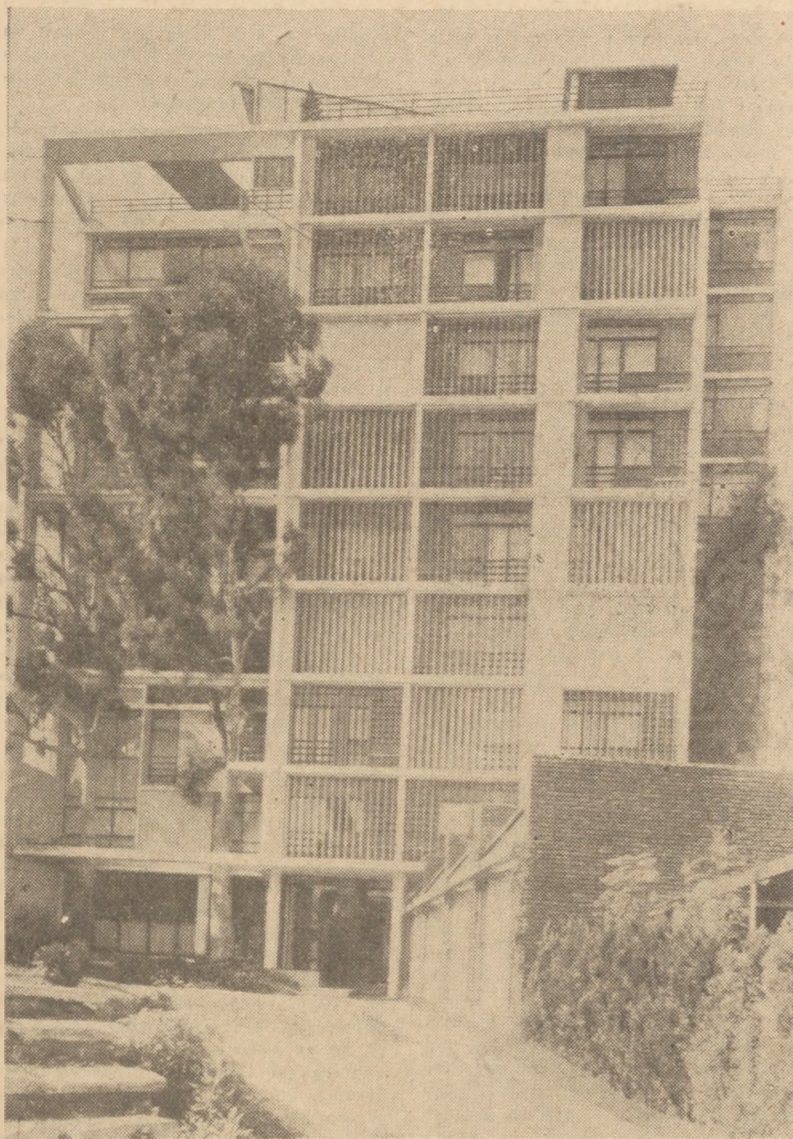
Iwo Bachecki Lublin



- G. Riccletti ZYCIE JEZUSA CHRYSYSTUSA wyd. II, str. 708 cena zł 145 —
 - E. de Greeff NOC JEST MOJIM ŚWIATŁEM wyd. II str. 447 cena zł 79 —
 - A. J. Cronin KLUCZE KRÓLESTWA wyd. II str. 355 cena zł 30 —
 - Św. Paweł L I S T Y li. z greckiego ks. Seweryn Kowalski str. 292 cena zł 25 —
 - J. Dobraczyński NOTATNIK PODRÓŻNY str. 148 cena zł 9 —
 - Wł. Pietrzak RACHUNEK Z DWUDZIESTOLECIEM (Z. Lichniak — Skazany na szukanje) w oprawie płóc. str. 224 + 103 cena zł 30 —
 - A. Świdarska A D A M str. 337 ceną zł 20 —
- Wysyła Biuro Sprzedaży „Pax” Warszawa, Mokotowska 43 za zaliczeniem pocztowym lub po wpłaceniu należności na konto PKO W-wa I-14-24037 Sp. Wyd. „Pax” — Instytut Wydawniczy w Warszawie. Przy wpłatach na PKO prosimy dołączyć 3. — na koszt przesyłki.
- Do nabywa we wszystkich sklepach „Veritasu”.

Redaguje Zespół. Prenumerata miesięczna 4 zł. Kwartalna 12 zł. Adres Redakcji i Administracji: Mokotowska 43, tel. 8-60-11 (15). Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze. Zakłady Drukarskie i Włókiodrukowe RSW „Pax” W-wa Marszałkowska 3/5. Zam. 2750. B-7-20016.

ABSTRAKCYJONIZM BEZ MITÓW



Właściwym autorem architektury tego pięknego budynku w Buenos Aires jest malarz — Piet Mondrian. Ta czynszowa kamienica mogłaby być wzorem dla naszego socjalistycznego budownictwa — jest lekcją rozsądku i przykładem współczesnego — bezkrotnego — piękna

driana i Malewicza z drugiej — pozostaje wprawdzie miejsce na nieograniczoną ilość wariacji, kombinacji, wypowiedzi indywidualnych — punkty skrajne zostały jednak już osiągnięte. To co dziś robi drugie i trzecie pokolenie abstrakcjonistów traci jakimś gatunkiem akademizmu.

Jakie wartości istotne dał jednak ten kierunek współczesnej sztuce i które z nich z powodzeniem można dziś rozwijać. Krakowska wystawa dzieł malarzy jest prowokacją do odpowiedzi na to pytanie.

W całej sztuce abstrakcyjnej można wyodrębnić dwie zasadnicze linie — dwa klany (nie żyjące naturalnie między sobą w zgodzie) — abstrakcjonizm geometryczny i niegeometryczny — operujący formami organicznymi. Piszę naturalnie o sztuce abstrakcyjnej czystej, tej, która nie ma żadnych aluzji do jakichkolwiek skojarzeń przedmiotowych, bo ignoranci nawet Picassa posadzają o abstrakcję. Patronem pierwszego gatunku jest Mondrian, drugiego Kandynski, który razem z kubistami jest właściwym ojcem całej abstrakcyjnej sztuki.

Mondrian to wielki inkwizytor malarstwa. Inkwizytor bezwzględnie racjonalny, bo miał odwagę dojść do absolutnych krańców malarstwa — i sztuki — do pewnego rodzaju geometrii wykreślonej ograniczonej zresztą do stosunków jakie zachodzą między liniami prostymi przecinającymi się pod kątem prostym. Mondrian, który po tegorocznej wielkiej wystawie zbiorowej w Londynie został oficjalnie uznany największym współczesnym malarzem holenderskim wywarł bezwzględnie silny wpływ na sztukę użytkową i architekturę. Właściwym urzeczywistnieniem jego obrazów jest współczesna plastyka architektoniczna. Całą jego twórczość można nazwać wielkim pracowitym studium architektonicznej kompozycji.

Tu dochodzimy do podstawowych, konkretnych wartości abstrakcyjnej sztuki. Abstrakcjonizm wierzy w całkowitą autonomię obrazu — równocześnie od obrazu odeszli. Sztuka abstrakcyjna jest szkołą — akademią plastycznego myślenia. Nie zamyka się sama w sobie. Odrzucając sens obrazu inny od sensu czysto plastycznego wyznacza sobie tym samym rolę laboratoryjnego, logicznego — choć nie zawsze czysto mowego — badania stosunków i praw obowiązujących w kompozycji powierzchni czy bryły.

Obraz, który nie ma znaczenia i nie chce znaczyć, który ma działać na widza nie budząc w nim żadnych pojęciowych skojarzeń — wkracza w odrębną, specjalną dziedzinę

malarstwa, a właściwie wykracza z malarstwa — staje między nim a architekturą.

Jak trudno jest mimo olbrzymich wysiłków i wielkiego wkładu dobrej woli oderwać sztukę całkowicie od rzeczywistości, odebrać jej wartości emocjonalne. Abstrakcjonista w swoich poszukiwaniach świadomie czy nieświadomie odkrywał potencjalne wartości emocjonalne, które tkwią w samej formie i kolorze — wartości, którymi działa architektura. Sztuka abstrakcyjna niegeometryczna, mniej racjonalna i dająca możliwości większej swobody dokonała na tym polu cennych i ciekawych odkryć. Przy całym swoim pozornym obiektywizmie — potrafiła wyrazić emocje mało może sprzyjone dwuznaczne — pokrewne emocjom muzycznym. Odkrycie, pokazanie, udowodnienie tych najbardziej podstawowych, fundamentalnych praw plastycznego oddziaływania jest wielkim — i jedynym — osiągnięciem abstrakcjonizmu.

Abstrakcjonizm jest jednak środkiem — nie może być celem — gdyż jest świadomie zubożonym, niepełnym gatunkiem sztuki. Wyciąganie z niego korzyści, wykorzystanie jego nowo odkrytych wartości — to nowy, prawdziwie twórczy etap rozwoju abstrakcyjnej sztuki.

Oprócz bezpośredniego oddziaływania na architekturę, oprócz szkoły malarskiej logiki, którą nie może pogardzić żaden malarz, sztuka abstrakcyjna doskonale nadaje się do

współdziałania z architekturą (malarstwo ścienne, mozaika, witraż), uczy wzbogacać architekturę we współczesny ornament, w nowe bogatsze środki wyrazu. Co więcej, poprzez ogromny wpływ na wytwórczość przemysłową, na sztukę użytkową, na rzemiosło i na wszystko co wiąże się z naszym współczesnym otoczeniem — abstrakcjonizm bez przesady zaczął penetrować całe nasze życie.

Jest coś niedwuznacznego w wykorzystaniu przez malarzy abstrakcyjnych — tego odkrytego przez współczesną sztukę świata mikrologii, fizyki, chemii, współczesnej techniki. Wizja abstrakcjonistów często wyprzedzała wizję rzeczywistości — sprawdziła się na przestrzeni kilku czy kilkunastu lat. Zdjęcia współczesnych urządzeń związanych z fizyką jądrową, współczesnych maszyn i środków komunikacji, nierzadko do złudzenia przypominają abstrakcyjne obrazy czy rzeźby sprzed kilkudziesięciu nawet lat. Kiedy w czasie pierwszej wojny światowej na ulicach Paryża pokazały się kanciaste, dziwaczne zoolgi, Apollinaire powiedział o Picassa: to wyszła je wynalazli, wykubili. Na tej samej zasadzie można powiedzieć, że współczesny samochód czy samolot jest w równym stopniu dziełem Brancusiego czy Arpa.

Oddziaływanie bezpośrednie abstrakcyjnej sztuki, jej współpraca z architekturą i techniką w formie czystej — nie w postaci plwy — jest także coraz większa. Przed pię-

ciu laty we Francji powstała grupa Espace, do której należał m. in. Le Ger — która postawiła sobie za zadanie penetrację określonego otoczenia, określonej przestrzeni przez plastykę. Jej nadzwyczaj ciekawe prace przy „uplastycznieniu” zakładów przemysłowych Renaulta, czy przy opracowywaniu obecnie wielkim osiedlu mieszkaniowym — to pierwsze oznaki sposobu myślenia, który w przyszłości może zrewolucjonizować nasze miasta, fabryki i domy.

Wracając do wystawy krakowskiej, która była pretekstem do pisania wykładu, że jej zasługą jest przypomnienie o możliwościach sztuki abstrakcyjnej. Wprawdzie malarze krakowscy z abstrakcji robią często sztukę tajemniczą i kosmiczną, niepotrzebnie ubierają ją w metafizyczną koszulkę, wprawdzie z kierunku w zasadzie zdrowego i racjonalnego robia mieszczkańskie pretensjonalne widowisko — co z tej wystawy można wyciągnąć: wnioski.

Nie piszę tu o niedwuznacznym wpływie surrealizmu, który widoczny jest w obrazach Kantora czy Brzozowskiego — to odmienny problem. Surrealistyczne podpisy pod większością pozostałych obrazów nie zmieniają faktu, że są to obrazy abstrakcyjne. A dyscyplina myślenia abstrakcyjnej sztuki mogłaby znaleźć zastosowanie zarówno w rozwiązaniach architektonicznych, urbanistycznych czy w wytwórczości przemysłowej — niekiedyż nie marnować się w na wpół snobistycznym sosie.



ŻYCIE I MYŚL

* DWUMIESIĘCZNIK *

NOWY 5/6 numer dwumiesięcznika „Życie i Myśl” przynosi wiele ciekawych pozycji. W spisie treści znajdujemy m. in. Bolesława Piaseckiego „Droga ruchu społecznego — postępowego katolików”, J. Ostaszewskiego — Karola Péguy, H. Bartolego „Chrześcijaństwo a świat pracy”, wybór tekstów Karola Péguy, Aleksym i wiele innych.

Artykuł Bolesława Piaseckiego wygłoszony był jako referat na Centralnej

Akademii Dziesięciolecia Ruchu Społecznego Postępowego katolików oraz drukowany w nr 47 naszego pisma, nie wymaga więc chyba szerszego omówienia. Piasecki zajmuje się m. in. zagadnieniem ideowych procedur wewnątrz społeczności katolickiej, jakie zachodziły po zakończeniu wojny. Wracając uwagę na osiągnięcia ruchu społecznego postępowego katolików, autor podkreśla jego ideową i organizacyjną dojrzałość, porusza także znaczące problemy katolicyzmu światowego oraz omawia stosunek ruchu do Episkopatu i Stolicy Apostolskiej. W końcowej części referatu analizuje zagadnienie sytuacji międzynarodowej i wewnętrznej.

Jedną z ciekawszych pozycji omawianego numeru „Życie i Myśl” jest szkic J. Ostaszewskiego o Karolu Péguy, wybitnym filozofie, który przetrwał w czasie wojny, wracając uwagę na wzrastające rozgłoszenie, w Polsce niemal zupełnie nieznanego. Szkic Ostaszewskiego kreśli żywo interesującą sylwetkę Karola Péguy, przedstawiając go jako publicystę i myśliciela na tle rytyki epoki. Autor przywołuje przede wszystkim dane biograficzne Péguy charakteryzując następnie Trzecią Republikę i obszernie komentując układ stosunków społecznych i politycznych we Francji. W dalszym ciągu autor przedstawia poglądy polityczne francuskiego myśliciela i rodzaju socjalizmu, którego był wyznawcą.

Zwracając uwagę na szczególny rodzaj katolicyzmu Péguy, jego głęboką i niecodzienną ostaszewski sygnalizuje konieczność zaszokowania się z poglądami pisarza, który uważał, że sfera realizacji miłości chrześcijańskiej jest dziesięć i w miłości chrześcijańskiej widział siłę, która powinna przeobrazić rzeczywistość społeczną. Ambitne zadanie „Życie i Myśl” przytoczył, aby wybudzić do historii katolickiego myśliciela czytelnikowi polskiemu zostało w dużej mierze zrealizowane przez zamieszczenie w tym samym numerze obszerny wybór tekstów charakterystyczny dla jego myślenia i myślicielską działalność Karola Péguy. „Należy wyrazić życzenie — pisze Janusz Ostaszewski — by inicjatywa „Życie i Myśl”... nie zakończyła się na niewielkim numerze, czas dziełowy jako przekłady i studia, a przede wszystkim, by skierowano uwagę na wielki i trudny temat... Péguy — poeta”. Temu postulatu należy tylko przyklasnąć.

Niezwykle ciekawą pozycję stanowi referat prof. Bartolego „Chrześcijaństwo a sens dziełowy”. W tym referacie autor przedstawia Wreszcza. Zajmuje się on ustaleniem chrześcijaństwa jako religii, która interesuje się staniem, trwaniem, czasem, która przenika do samego sedna ich ewolucyjnego, co jest w tym sensie, czym dalej — jest nadaniem światła i dziełom znaczenia, któremu przyswleca obecność Boga. Aż ułżywe, iż nie ma nic bliźszego dla chrześcijan naszych czasów nad rozważanie Boga, historii, historii i śmiało wyciąganie z niej konsekwencji”. Wychodząc z takiej postawy Bartoli rozważa historię czasów chrześcijańskich jako stopniowe wznoszenie Państwa Bożego, czas dziełowy jako czas stworzenia, dynamikę historii i czasu jako rozwój w drodze ku doskonałości. W ramach tej koncepcji rozpatruje autor wiele kardynalnych problemów wpływających z tak pojętego sensu świata, nie zapomina jednak i o postawie ekonomisty widocznej w stosunku do całej syntezy zagadnienia omawianego w swym wykładzie.

Dwie następne pozycje poświęcone problematyce religijnej to artykuł Irene Gano „Sw. Hieronim jako autor „Wygasy” — w którym autorka zajmuje się m. in. rozpatrzeniem sprawy tak długiego nieprzemyślenia Wulgaty za tekst obowiązujący i stara się możliwie najobiektywniej przedstawić historię i jego zasługi wobec Kościoła. Innym opracowaniem jest interesująca antologia wersetów z Pisma Świętego, dotyczących chrześcijańskiej chrystologii i koncepcji człowieka i dziesięciu życia społecznego, wybranych przez Witolda Ostrowskiego.

Z dziedziny ekonomii zamieszczono w ostatnim numerze „Życie i Myśl” obszerny i sumienny, choć z konieczności skrócony referat dr Waszko. W szeregowych podrozdziałach zajmujących się kolejno różnorodnymi zagadnieniami, od geografii Chin począwszy poprzez informacje o ludności, stan wewnętrznej produkcji państwa, handel, system pieniężny i wiele innych, bogaty w przykłady cyfry i statystyki tekst doprowadza do wniosków, z których nie najmniej ważny jest ten, że swój gospodarczy rozwój w dużej mierze zawdzięczał Dhinu Ludowe wydane pomocy Związku Radzieckiego. Literatura reprezentuje w omawianym numerze dramat Wł. Smólskiego „Legenda o Sw. Aleksym”, który wymaga osobnego omówienia w innym miejscu. Z pomniejszych prac zamieszczonych w ostatnim numerze należy wymienić jeszcze krótki szkic K. Tymienieckiego o p. prof. Wojciechowskim, dwie recenzje książek wydanych przez Pax (Francisco de Victoria „O Indianach” i Aleksandra Rogalskiego „Kościół katolicki na Śląsku”, pisma Alfonsa Klafkowskiego) oraz wymianę polemiczną między prof. Stefanem Żółkiewskim i prof. Stefanem Skwarczyńskim.

Zwróćmy ze względu na różnorodność problematyki „Życie i Myśl” charakterystyczny numer 5/6 „Życie i Myśl” należy w sumie ocenić jako bardzo interesujący.

A. G.

K. W. O.

dany dla ludzi bez wyobraźni, bo ich empiryczny talent nigdy nie zdoła wysej poza to, co bezpośrednio spostrzegł. Ci zawsze poprzestaną na jakiejś warstwie istnienia, dostatecznie już zrogowaciałej, by się nią przestać zajmować. Nie wiedzą, co u nas jest nowe, bo tylko ustalibawiana już w pewnej mierze starzyzna wydaje im się czymś realnym i rzeczywistym.

W literaturze musimy iść naprzód, dostrzegać to, co się różni i zapowiada jako najwyższa rzeczywistość, a całą resztę zostawiać dla nałogowców wyspecjalizowanych w polowaniu na pluskwy. Niech sobie ostatecznie cedzą swojego komara przez sito, to wkrótce przestanie być ważne.

Pisarze nastawieni wyłącznie na paszkwil i satyryczny negatyw przypominają mi armię złożoną z samych śmieciarzy. Naturalnie — wywożenie śmieci jest rzeczą konieczną, ale niesposób koncentrować całej uwagi na produktach rozkładu, choćby nawet były powszechnie widoczne...

ZAWSZE podejrzewałem i będę się przy tym upierał, że artysta pozbawiony daru wyobraźni właściwie zaprzecza swemu powołaniu i może nam zademonstrować tylko swoje duchowe kalestwo. Lecz w takim razie nie posiada on kwalifikacji twórczych, bo twórczość pozbawiona zdolności widzenia nowego stylu życia, twórczość bez wizjonerskich i dalekosiężnych perspektyw jest czymś bardzo niedoskonałym i ciasnym, a na dłuższą metę nie może nikomu wystarczyć.

Lecz co jest nowe, a co stare w rzeczywistości współczesnej? I jak te elementy od siebie odróżnić? To pytanie wysuwa się dziś na pierwszy plan, bo w związku z nim powstało najwięcej nieporozumień, a w rezultacie — napisano немало złych książek.

Wielu autorów pojęło ten przyszłowiowy już kontrast bardzo tradycyjnie, a więc schematycznie, co w danym wypadku prawie na jedno wychodzi. Uznali, że uosobieniem starego jest kapitalista, sklepikarz, kulak i szpieg. Czy to nieprawda? Prawda, ale nie cała.

Nie zawsze dostarcza nam ona doświadczenia, kiedy artysta próbuje na niej poprzestać, daje często rzecz martwą. Konflikt, żywe jeszcze sześć lat temu, ogromnie straciły na aktualności. Literatura istnieje dzięki temu, że życie nam nie wystarcza. Gdyby samo w sobie było doświadczeniem, nie trzeba by tworzyć i magazynować wzruszeń w bi-

biotekach i salach kinowych. To przecież jest skutek jakiegoś niedosty dręczącego ludzkość od pierwszych dni jej istnienia.

Tak. Każda epoka wytwarza swoją galerię typów w pewnym znaczeniu klasycznych. Lecz z chwilą, gdy owe wielkie kreacje stają się kulkami z szopki politycznej, grozi im zejście z widowni. Nieuchronnie przychodzi taki moment, kiedy już nikogo naprawdę nie interesują. Zagrały, co miały zagrać — i koniec. Nic więcej się z nich nie wydobędzie. Oczywiście wypadnie nimi jeszcze nieraz potrząsać dla celów wychowawczych, ale tym się już będą zajmować autorzy czytelnik świętociowych. Nie każdy powieściopisarz potrafi być pedagogiem. Do tego potrzeba bardzo specjalnych uzdolnień, które głęboko szanując i wcale nie mam zamiaru ich tutaj pomniejszać ani lekceważyć. Ale trudno, w

Czy życie jest schematyczne?

tej branży, jak i w każdej innej, musi dokonać się podział ról i kompetencji. Nie wszyscy muszą i mogą robić to samo.

Kultura jest wtedy bogata, gdy jest zróżnicowana, gdy wytwarza wiele uzupełniających się wzajemnie organów poznania. Nie podobna koncentrować się wyłącznie na tym, co było już tysiąc razy na wszystkich stronach opisane. Można to uczynić tylko wtedy, gdy się ma w tych sprawach coś nowego do powiedzenia, a to niestety rzadko się zdarza.

Wiadomo, że w miarę stabilizowania się socjalizmu i sytuacji międzynarodowej coraz trudniej będzie dostrzec klasowego wroga na froncie wewnętrznym. Opozycja działa, dopóki ma szansę zwycięstwa. Ale w sytuacji zupełnie dla siebie beznadziejnej, nawet najczystszy nieprzyjaciel przycyja się i wewnątrz nie kruszeje. W tych warunkach walka starego z nowym przybiera zgoła odmiennie postacie, staje się trudna do rozpoznania. Jej przebieg jest niesłychanie wieloznaczny, a najczęściej głęboko ukryty i przypomina raczej subtelny grę psychologiczną niż efektowne dramatyczne starcie przeciwników wielkiego formatu. Literatura będzie musiała wyciągnąć z tego stanu rzeczy swoje konsekwencje i wyżyć się łatwych uroszczeń...

Czy to znaczy, że walka klasowa wygaśnie? Nie. Tylko jej punkt ciężkości przeniesie się na teren międzynarodowy, do krajów o strukturze wielopartyjnej, zależnych i kolonialnych. Dla nas istotne okaże

się wypieranie przeżytków przeszłości z duszy ludzkiej. W jej wnętrzu, a nie na powierzchni, dostrzeż nam wypadnie działania sprzeczności drążących od środka, a znanych dobrze pod nazwą: dramatu postaw moralnych. Setaire i nieprzejazdne będzie to wszystko, co zechce opóźnić lub sparaliżować proces jak najbardziej zaspokojenia materialnych i kulturalnych potrzeb społeczeństwa w socjalistycznym ustroju gospodarczym. Mówiąc o tym mam oczywiście na myśli, postępowanie takich jednostek, które, przekładając dobro własne nad dobro wspólnoty tworzącej, przez swój osobisty egoizm, niedbalstwo i marnotrawstwo, faktycznie zmniejszają szansę szybkiego podniesienia stopy życiowej i to zarówno dla siebie, jak i dla swoich współczesnych. I w tej dziedzinie pasja pedagogiczna pisarza powinna stać się jego namięt-

szym większy, że nam w tej chwili jak chyba jeszcze nigdy potrzeba marzenia o niezwykłej sile, zdolnej pociągnąć nas naprzód. Pragniemy wielkiej romantyki rewolucyjnej — wyobraźni na miarę stulecia. I powieści zrodzonej na gruncie poznania realnych perspektyw epoki atomowej. Musimy sobie powiedzieć, że kultura bez wizji przyszłości jest tworem kalekim i chorym, ginącym w kleszczach schematów. Nie spychajmy winy na system. To najgorszy spośród tchórzliwych uznali, że odpowiednikiem postępowości w literaturze jest i powinien być szablon, rzekomo najlepiej chroniący od wszelkiego rodzaju potknięć ideologicznych. A przecież zawiódł po prostu ubożuchny zmysł interpretacji pierwszych, elementarnych założeń.

Zasada ujmowania rzeczy w ruchu i w rozwoju; zasada widzenia

wszystkich zjawisk w ich związku wzajemnym; uznanie, że sprzeczność jest siłą popychającą świat naprzód — te dobrze znane kanony wszelkiej prawdziwej sztuki pisarskiej my, katolicy, możemy sobie przyswoić w niczym nie rezygnując z istotnej odrębności własnego poglądu na świat. W tej tak krepującej rzekomo koncepcji zawiera się potężny ładunek niewykorzystanej dostatecznie inspiracji twórczej. Trzeba tylko poruszyć ów literacki niewypał i nareszcie spowodować wybuch, ale taki, aby w nas wszystkich zadrażliwił!

Bo, jak powiada Julian Przybos: „Liryzm to poryw ku wszechludziemu szczęściu, utrwalony w słowie!” Tak. Do tego porywu właściwie sprowadza się wszystko. I z tej dyspozycji psychicznej zrodzi się sztuka godna naszych czasów, najbardziej potrzebna i bliska, najmocniej mobilizująca energię ludzi współczesnych.

Alfred Gerard

Post scriptum.

Intencje tego artykułu winny zostać zrozumiane właściwie i ściśle. Autor nie nawołuje pisarzy do odwrócenia się od współczesności, byłoby to bowiem żądanie zupełnie bezcelowe, a nawet wręcz absurdatne.

Natomiast zamierzam konsekwentnie upierać się, że teraźniejszość pozbawiona wielkiej perspektywy rozwojowej i plastycznie ukazanego związku z bliższą czy dalszą przy-